Nr. 10. Rok I.

We Lwowie 2. Grudnia 1882.

ZIARNO

TYGODNIK LITERACKI, ARTYSTYCZNY, NAUKOWY I SPOŁECZNY

wychodzi od 1. października 1882 co sobotę w objętości półtora arkusza w okładce.

„ZIARNO“ kosztuje:

W miejscu rocznie: **12 zł.** — na prowincji: **13 zł.**

„ kwartalnie: **3 „** — „ **3 „ 25 ct.**

Dla ułatwienia zaprowadzamy prenumeratę miesięczną w kwocie **1 zł. 10 ct.** w miejscu, a **1 zł. 15 ct.** na prowincji.

Na okładce każdego numeru umieszczają się INSERATY po 5 ct. od wiersza petytem.

Prenumeratę, tak miejscową jak z prowincji przyjmuje:

Administracja „ZIARNA“ w drukarni „Dziennika Polskiego“ we Lwowie ul. Halicka l. 46.
tudzież wszystkie księgarnie.

☞ PP. Autorowie i nakładcy, którzy sobie życzą mieć ocenę swych dzieł w „ZIARNIE“ raczą nadesłać redakcji egzemplarze wydanych książek.

Nr. 10. We Lwowie dnia 2. Grudnia 1882. Rok I.



TYGODNIK LITERACKI, ARTYSTYCZNY, NAUKOWY I SPOŁECZNY.

Prenumerata na „Ziarno“
W miejscu rocznie 12 zł. na prowincji 13 zł.
„ kwartalnie 3 „ „ 3 „ 25 ct.
„ miesięcznie 1 „ 10 ct. „ 1 „ 15 ct.

Wychodzi co sobotę w objętości 1½ arkusza. Adres redakcji i administracji: „Drukarnia Dziennika Polskiego“ Lwów, ul. Halicka l. 46.
INSERATY będą przyjmowane za opłatą 5 cnt. od wiersza druku petitem.

NOWE PRAWO KOBIETY.

Długoletnie usiłowania związku, znanego pod nazwą: „Married Women's Property Committee“, do którego należeli tacy obrońcy praw kobiety, jak Jakób Brigth, Errington, Mac Laren, Miss Arnold i inni, nareszcie został uwieńczony pomyślnym skutkiem: Z dniem 1. Stycznia r. 1883. ustają dotychczasowe ograniczenia majątkowych praw kobiety zamężnej. Nowa ustawa pod nazwą „Married Women's Property Act“, nietylko znosi owe ograniczenia, ale w ogóle nadaje kobiecie zamężnej tyle swobody, co do rozporządzania majątkiem, że Anglia, która dotąd w tym względzie była najbardziej może zacofaną, odtąd stanie się wzorem dla niejednego z państw „cywilowanych“.

Według tej nowej ustawy, każda kobieta która zawrze związek małżeński z mężczyzną, od 1. stycznia r. p. będzie miała prawo wyłącznej własności i samodzielnej administracji całego swego osobistego majątku tak ruchomego, jak i nieruchomego, który przed zawarciem małżeństwa do niej należał, lub przez nią w czasie pożycia małżeńskiego nabytym został. Majątkiem tym może ona dowolnie rozporządzać bądź testamentem, bądź w inny sposób. Nadto ustawa ta zabezpiecza żonie nieograniczoną własność tego, co sobie ona w stanie małżeńskim przez własną pracę lub talent zarobi, i wyjmuje tę część majątku z pod władzy mężowskiej. Tak tedy odtąd mąż nie śmie naruszać ani szeląga z prywatnego majątku żony, bez wyraźnego tejże zezwolenia.

Chcąc ocenić całą doniosłośc tej reformy, należy zestawić znany konserwatyzm ustawodawstwa angielskiego, z iście opłakanym stanem, w jakim się dotąd w Anglii znajdują prawa kobiety.

U nas i w większej części stałego lądu, głównym przedmiotem t. zw. kwestji kobiecej bywa stanowisko kobiet niezamężnych, które nie mogąc korzystać z opieki męża, muszą same na siebie zarabiać, i bronić się od rozlicznych niebezpieczeństw moralnych i materjalnych. Kwestja więc kobieca (zdaniem umiarkowanych obrońców kobiet) redukuje się u nas do kwestji „pracy kobiet“, a tylko radykalni, (t. j. konsekwentni) zwolennicy emancypacji idą dalej, i żądają zniesienia innych jeszcze ograniczeń praw kobiety, zarówno zamężnej, jak nie zamężnej. To też w ruchu emacypacyjnym w środkowej Europie, jak dotąd, udział biorą przeważnie kobiety bądź nie mające widoków na zamążpójście, bądź mężatki jak to mówią — „wykolejone“, słowem tylko „katylinarne egzystencje“ rodu niewieściego; podczas gdy kobiety, którym się udało szczęśliwie dopłynąć do portu małżeńskiego, zdala sią trzymają od tego ruchu, a najczęściej wręcz mu są przeciwne, i chętnie wierzą w zapewnienia konserwatystów, że „naturalnem przeznaczeniem kobiety jest być matką i gospodynią“. Pominąwszy bowiem zawisłość moralną od woli mężowskiej, kobieta zamężna u nas doznaje opieki nie tylko męża ale też i prawa: majątkiem swoim prywatnym wolno jej zarządzać swobodnie, mąż ma tylko prawo użytkowania co do posagu, który z reguły pozostaje własnością żony; wspólność majątkowa między małżonkami nie wynika z samego prawa, a może się opierać jedynie na osobnej umowie (§. 1233 austr. kod. cyw.); posag po śmierci męża dziedziczy żona, a w razie gdyby ona przed mężem zmarła, jej spadkobiercy (§. 1229 p. ks. u. cyw.). Gdy się nadto zważy, że według prawa mąż jest obowiązanym starać się zawsze o stosowne utrzymanie żony i „zastępować ją w wszelkich przypadłościach“, to łatwo zrozumieć, że zwykłej miary istoty, wychowane zresztą w tradycyjnych pojęciach o wyższości rodu męskiego, nie czują jarzma, jakie na nie nakłada prawo, mianujące męża „głową rodziny“, której się po-

słuszeństwo należy, i utrudniające nieskończenie rozwód. — i uważają stan małżeński za szczyt dążeń kobiety.

Inaczej stoją rzeczy w Anglii. Tam zależność kobiet zdaje się prawie zaczynać dopiero z zawarciem związku małżeńskiego. Biedną zarobnicą opiekują się w znacznej mierze wzorowe ustawy fabryczne, karjera naukowa stoi otworem dla kobiet chcących jej się poświęcić*), możność zarobkowania jest jak najszersza; istnieją schroniska i inne instytucje dobroczynne dla guwernantek itp., na niwie literatury kobiety angielskie pracują więcej od innych, a tak liczna nareszcie w Anglii kategorja „starych panien", prócz większych niż gdzieindziej względów opinii publicznej, cieszy się przynajmniej jedną rzeczą: swobodą rozporządzania majątkiem i zarobkowania dla siebie. Żona natomiast w Anglii, z chwilą ślubu przestaje być sobą samą; jej osoba zlewa się z osobą męża tak dalece, że prawo jej jako indywiduum zupełnie już nie uznaje. Mąż zabiera wszystko: prawa, majątek i wolność. Mąż i żona są jedną osobą prawną, znaczy to, że wszystko co ona posiada, staje się jego własnością, ale nie przeciwnie: nie wszystko co on posiada jest też jej własnością; zasada ta nie dotyczy męża, chyba że potrzeba odpowiedzialności jego względem osób trzecich za żonę, zupełnie tak jak pan odpowiedzialnym jest za czyny i sprawy swych poddanych lub swego bydła***). Żona niczego począć nie może bez milczącego chociażby przyzwolenia męża, nie może nabywać własności dla siebie; skoro własność jakaś n. p. przez dziedzictwo, jej się dostanie, już ipso facto przechodzi i na niego. W tym punkcie położenie kobiety w obec prawa angielskiego, jest gorsze niż stosunek poddanych, w obec kodeksu wielu państw. Wedle prawa rzymskiego n. p. niewolnik mógł posiadać dla siebie małą fortunkę, którą mu do pewnego stopnia prawo poręczało na własny użytek**). Prawo angielskie stawia kobietę zupełnie na równi z kalekami, nieletnimi i głupowatymi. Są to zabytki średniowiecznych jeszcze przepisów, które swą srogością w tej mierze przechodzą miarę naszej pojętności. W starych prawach Anglii małżonek zowie się panem rodziny (Lord); uważano go literalnie za samodzierzcę, tak dalece, że mord popełniony na mężczyźnie, zwał się „zdradą" (treason, t. j. małą zdradą w przeciwieństwie do głównej zdrady, „high treason") a karano ją ostrzej niż główną zdradę, gdyż zbrodniarkę taką żywcem palono. „Od czasu — mówi J. St. Mill. — jak ta groza wyszła z używania (bo po większej części jej prawnie nie zniesione wcale, albo zniesiono dopiero, gdy już dawno w praktyce istnieć przestała) utrzymują, że wszystko na lepsze się odmieniło w związku małżeńskim jakim jest dziś, i nieustannie powtarzają, że cywilizacja i chrześciaństwo nadały kobiecie słuszne prawa. Mimo to jednakże jeszcze jest prawdą, że żona rzeczywiście jest niewolnicą męża, nie mniej, oczywiście w szrankach zobowiązań prawnych, jak prawdziwi niewolnicy".

Trudno zaprawdę uwierzyć, że podług prawa angielskiego dziś jeszcze żona nie odpowiada wcale za zbrodnie, popełnione w obecności męża. Pominąwszy niektóre najcięższe wypadki zbrodni lub znaczniejsze choroby męża, które mu nie pozwalaja używać swoich sił, prawo przypuszcza, że samodzierzca małżeński jest dość silnym, aby swoją żonę powstrzymać od popełnienia zbrodni; skoro obowiązku tego zaniedba, to sam odpowiada za skutki. Szkody wyrządzone przez żonę, tak samo należy wynagradzać, jak szkody przez bydło domowe popełnione*).

Wprawdzie niesprawiedliwość prawa obchodzoną bywa przez specjalne umowy, mianowicie pod względem praw majątkowych, ale ze środka tego korzystać mogą jedynie t. z. klasy wyższe, t. j. majętniejsze, a kobiety z klas średnich i niższych jak we wszystkiem, tak i w tym względzie znosić muszą całą niesprawiedliwość urządzeń społecznych.

W obec takich stosunków, aż nadto nam się wydaje usprawiedliwionym wykrzyknik Milla, że „nie ma poddanego, którego niewola byłaby tak zupełną, jak u kobiety".

Z wejściem w życie nowej ustawy, słowo to wkrótce może się stanie anachronizmem; lecz niemniej stanowisko kobiet tak w Anglii jak i w innych krajach wiele jeszcze pozostawiać będzie do życzenia, a szlachetny Mill, gdyby był przy życiu, niejedną jeszcze mógłby stoczyć walkę w obronie praw kobiecych. Zanadto ścisłym jest związek t z. „kwestji kobiecej" z całością kwestji wieku, kwestją społeczną, aby zbyt wielką wagę przywiązywać można do takiej jednej reformy, jak niniejsza; jest ona paljatywem, jak każda częściowa naprawa. Ostateczne zaś załatwienie kwestji kobiecej nastąpić może dopiero w chwili, gdy cały nasz ustrój społeczny dojdzie do kresu ewolucji, którą zwolna lecz wyraźnie odbywa...

*) Uniwersytet londyński jeszcze w r. 1878 uchwalił większością 110 głosów, że kobiety mają być przypuszczone do studjów uniwersyteckich tak samo jak mężczyźni („The Times" z d: 17. stycznia 1878. r.)

**) J. St. Mill „Poddaństwo kobiet", przekład polski, Toruń, 1870.

***) Mill, l. c.

*) Holtzendorff „Die Verbesserungen in der gesellschaftlichen und wirtschaftlichen Stellung der Frauen", Berlin 1877.

Przy drodze.

Nowela

przez F. Tokarzewicza-Hodi'ego.

(Dokończenie.)

Deszcz padał cienki, gęsty.

Po skrajach zasępionego widokręgu włóczyły się omdlałe mary, sinawe, zimne.

Pod niemi pełzały smugi niw zżółkłych, obnażonych, wyżytych, zawcześnie skoszonych zawiejami chudej jesieni.

Pusto było dokoła.

Kto tylko miał chatę — a któż jej oprócz cygana i tułacza nie ma? — skrył się do środka, naniecił ogień, i grzał się przy nim, urągając przez okno niebiosom zastygłym, lejącym strugi chłodnej wilgoci w zanadrza lasów, za kołnierz wzgórzom.

Ziemia nie zawsze tu sucha, nawet śród stałych upałów, rozłaziła się teraz, po kilkudniowej słocie, połaciami błock, kałuż, trzęsawisk.

Środkiem ich, jedynie droga kamienna szła sobie twardo, krzepko, gładko, nieporuszenie, niby wązka a długa i prosta kładka marmuru białego, zarzucona na te topieliska, a dążąca ztąd w jednę stronę aż do Rzeszowa, a w drugą hen, hen! wstecz aż do Niska... Dziwna droga! Ani jej tu co ulewy poradzą, ani burze, ani huragany, ani powodzie! Czemuż to nad samym Sanem nie poprowadzili jej ludzie? Ocembrowałaby go ona na wieki. Czemu?! — bo nie prowadzili jej ludzie. Budawał ją — człowiek. Lud też nie zwie jej ani powiatową, ani królewską, ani gminną. Zwie ją po prostu: „drogą Brzezińskiego". Utrzymuje, że całkiem inaczej, niż gdziekolwiek indziej, została tu ona ułożoną. Ani jeden z niej kamyk nie osiadł podobno kurzawą na sumieniu przedsiębiorców i dostawców... Byćby to mogło. Z zupełną pewnością mógł coś o tem wiedzieć jedynie chyba podróżny ten oto w burce, z kapiszonem na głowie, z workiem starym, skórzanym za sobą... Przed dwiema to bowiem właśnie godzinami uścisnął go przed pocztą niską sam pan Brzoziński, który obecnie, wróciwszy do swej izby nie wysokiej, zbierał z posadzki książki swe kurzem okryte, z torby skórzanej wyrzucone z rana. Zbierał, odmuchiwał, — a milczkiem je za przypiecek składając, stawał niekiedy, w dłonie ujmował twarz swą czerstwą i rumianą, choć już siwiejącą, troską okoloną, i na świat przez zapływające szyby poglądał oczyma zadumanemi tęsknie... Myślał może o drodze tej swojej, którą ongi usypał... akurat na wyjazd swego przyjaciela.

Przyjaciel tylko-co właśnie opuścił Kamień.

Pójdźmy za nim.

Tuż zaraz za pierwszą od Kamienia karczmą — w stronę Rzeszowa — jest wzgórze, które droga Brzezińskiego na wylot przeszywa sposobem termopilskiego przejścia. Za wzgórzem, na jego południowym spadku, znajduje się spora gromadka drzew, gatunku mięszanego, przy polance dość jeszcze stosunkowo zielonej jak na taką porę. Zasłonięte od wiatrów północnych, borek i polanka, siedzą tu sobie spokojnie jak dziad z babą, otoczone drobną dziatwą lichych i karłowatych krzewów w podartej odzieży.

Na czoło rodziny tej, koczowniczej rzekłbyś, niejako w podróży spóźnionej za latem, które oddawna tabor swój tu zwinęło i odeszło, wysunął się pochyły już i mocno pomarszczony, lecz krępy jeszcze i jary dąbstaruszek, ostatni może potomek rozległej niegdyś w tych stronach puszczy sandomierskiej. Ramiona starzec roztoczył szeroko, krzepko; od wierzchu atoli świeciła na nim łysina ogromna, a nogawice jego od spodu ledwo się ciała trzymały, tak były zszarpane, znoszone, postrzępione.

Stało pod tym dębem ludzi dwoje.. dzieci raczej dwoje. Dziewczyna lat może czternastu, piętnastu, bosa, oparta o pień drzewa, miała na głowie i ramionach płachtę białą grubo-wełnianą, na sobie spodnicę twardą, zmoczoną, w kratki czerwone, rude i błękitne; czarnemi wielkiemi oczyma, na twarzy mizernej, cygańsko-śniadej, spoglądała w zadumie łagodnej i bezcelowej, ku drodze. Przy niej o krok, chłopak smukły w szarej kapotce przepasanej cienko, w butach tęgich, juchtowych, w czapce ostrej, wysokiej, „godunowką“ zwanej, ręce w tył na sękaty kij założył, i zuchowato głowę w stronę odrzucił, jakby w co nagle zasłuchany.

Za nimi, nieruchomie łby ku sobie nachyliwszy, pozwalały się siec deszczowi po grzbietach: wół i krowa, lub też może dwie krowy, lecz w takim razie jedna była... łysa, druga nie. Przyglądały się sobie z obojętnością senną.

Zabrzmiała w tej chwili trąbka za górą.

— Poczta... — powiedziała dziewczyna.

— A ino! — odrzekł chłopak potwierdzająco.

Dziewczyna westchnęła z cicha, poprawiając ręką drobną włosy swe czarne i lśniące się pod płachtą, jak lugduński jedwab. Usta jej skromne i drobne, naiwny wyraz oczu błyszczących, nos mały, cienki, świadczyły o nierozwinięciu pierwszej młodości; lecz dwa mocne łuki brwi ściągniętychi, migocąca raz po raz nabrzmiałość skroni, zdradzały jakby zaniepokojoną pełnię wczesnego rozkwitu, czy też wczesnej tylko troski i biedy.

Piękną była; pociągała ku sobie wyrazistym zarysem mizernego oblicza i wiotkością postaci, chybkiej i giętkiej jak trzcinka, wyrastająca śród bagien przyrody skarlałej — prosto a w górę.

Chłopiec wlepiał w nią od czasu do czasu spojrzenie głębokie i jasne — lecz ostre, jakby zdziczałe. Postawę miał butną, zarozumiałą, ruchy ciała zwięzłe, swobodne, nieokrzesane. Bił pięścią w kij za sobą jak młotkiem, ilekroć cokolwiek było mu nie po myśli.

— Tymko hej tam twój jedzie...—ozwał się junak cierpko.

Dziewczyna oczy pytające na niego podniosła i odparła bez namysłu:

— Taki on mój, jak ja... twoja.

Lecz natychmiast dłonią zgiętą niby do chuchania, wargi sobie przydusiła; powiedziała może za wiele lub też więcej, czegokolwiek powiedzieć nie chciała.

Chłopiec się poruszył. Ofuknął twardo:

— Jużcić, że nie moja, skorom cię nie wziął i nie kupiuł...

Zmierzyła go wzrokiem.

— Kupiuł, kupiuł... rzekła nie bez cienia ironji, i to wcale nie chłopskiej — Co słowo u ciebie kupno, Stachu. Nie wszystkoć można kupić...

Przestępowała to mówiąc z nogi na nogę, i stopę o stopę ogrzewała po kolei. Stopy miała białe, chude, delikatne.

— Owa! — odrzucił Stach z lekceważeniem, ale twarz zaraz odwrócił — Owa! czego na świecie nie kupić?

Pięścią w kij uderzył.

Dziewczyna z oczu go nie spuszczając, mówiła łagodnie, zwolna:

— Aj! aj! Stachu ty, Stachu... Poszedłbyś oto lepiej choć raz kiedykolwiek, wieczorem, w niedzielę, do szkoły, a nie gadałbyś darmo... Poszedłbyś i posłuchał, czem jest pieniądz bez nauki... i bez poczciwości...

Podrosła zdało się i wypogodniała cała przy ostatniem słowie, tak to słowo ślicznie wypadło z jej ust maleńkich, do powagi nastrojonych. A i chłopiec rozchmurzył się od razu na ten głos dobitny, szczerością zaakcentowany. Ale upartym był Powilańczuk. Odpowiedział dziewczynie na przekor:

— Alboć to ja zyd, Basiu, zebym do skoły chodziuł!..

Wpatrywał się atoli w nią znowu jak w obrazek, przez promienie swych źrenic kąśliwych.

Basi mimowolnie na to spojrzenie odsłoniły się dwa rzędy ząbków jak perełki; ale ze swojego ustąpić na serjo nie myślała.

— Co to, to prawda, że nie jesteś żydem — prawiła przykrywszy rzęsami długiemi iskierki swych węgli. — Bo gdybyś był żydem, tobyś teraz oto w kramiku siedział, i na pastwisko bez potrzeby nie biegał w deszcz taki... Sprzedawałbyś sobie cokolwiek, o żadnem kupnie nie mówił, a o braniu mnie, tobyś i przez złość nie pomyślał. Żeś nie żyd, to nie żyd. Ale i to także pewno, Stachu, że inaczej by jeszcze było, o! zupełnie inaczej, gdybyś czasami do książki mógł zajrzeć...

— No albo czemu?

— Temu, że byłoby ci z tem... ot, byłoby ci z tem lepiej na świecie...

Stach się skrzywił.

— Pleciesz — rzekł. — Toć i bez książki mam i chleb i do chleba, a pana Boga wszakcić i na pomięć chwalić potrafię...

— Nie-tylko pacierza książka naucza...

— A ino?

Dziewczę główką pokiwało, połknęło ślinkę.

— Rozmaitych rzeczy. Jak z ludźmi żyć, jak do nich mówić, jak być względem nich sprawiedliwym, nie zważając, czy kto jest katolikiem, czy żydem, byle tylko kochał ziemię, na której siedzi, a ludziom dobrze robił...

Stach śmiechem parsknął.

Owa! owa! — zawołał — dużo o tem i Leonczuk gadał wróciwszy ongi z targu w Nisku, gdy mu Szyfmanowa dała bułki szabasowej kawał!... Ta!... jak kto swego chleba nie ma, to pytluje cudzy, aż mu para z gęby wali...

— Stachu! — krzyknęła dziewczyna — Co tobie jest? Co ci się dziś stało? Prawisz jak opętany! Albożtemu Leonczuk winien, że biedny, że sam jeden, sierota, bez ojca, bez matki?.,. A Szyfmanowa czy źle zrobiła, że głodnemu jeść dała?... Skończenie świata z wami, jeżeli tak zawsze będziecie niepoczciwi i głupi!..

Znowu rączką zsiniałą usta sobie zamknęła.

— To ja to wiem, wiem dobrze, oho!— wywiódł Stach przeciągle — że ty wszyćko przekręcić potrafisz! Mało czego! Ale chleba jak nie miałaś, tak i nie masz z matką. Co ci z tego, że nie mówisz już jak wszyscy: a dyć, a ino, pon jonzynior? Albożdla tego masz trzewiki? albożkrowy nie pasiesz?

Basia oczyma zaświeciła.

— Nie pasłabym, gdybym niechciała — odrzekła z naciskiem... I trzewiki bym nosiła... a może i co więcej jeszcze...

Stach zerknął złośliwie...

— Ba! — powiedział — Chusteczkę czerwoną od Tymka... co?

Dziewczyna zapłonęła.

— Chusteczkę?... — jęknęła — Ach, ty złośniku podły!... Ależ na chusteczkę matula... Tymkowi pieniądze dali do Rzeszowa... kiedy tam jeździł!...

Mówiła to drżąc cała, dusząc się oddechem własnym.

— I! I! odciął się Stach — Co tam darmo językiem wiercić! Pieniądze Tymko matce wrócił, i swoich jej jeszcze dopożyczył!..

Basia pobladła.

Stanęła jak posążek wkopany w ziemię, patrzący bezmyślnie. Źrenice jej mgłą zaszły.

Teraz dopiero Stach postrzegł, że popełnił zły uczynek, i nie wiedział jak z niego wybrnąć.

— I cóż ja... cóż ja temu, nieszczęśliwa, winna? — wyszeptała dziewczyna skróś łzy.

Ręce jej opadły, rozwiała się na niej płachta.

Stach kij swój sękaty oburącz do połowy w mokrą glebę wpakował, i za godunówkę się chwycił. Darł siebie za głowę — nie drapał.

— Alboż to powiadam? — tłumaczył się — Albożci kiedy cokolwiek.., ot choć raz kiedykolwiek, powiedz, czy co złego zrobiłem, kiedy cię ten pamiętasz, sędzia Huczko, psiąwiara, świeć Ponie jego duszy — wzion w koncelaryi wpół, jak matka wyszła, a ty w niebogłosy krzyknęła? Co nie prawda? Albo kiedy za spodnicę cię uchapiuł ten wetorynosz od dobytku z wielgim nosem, przed wielgonocką... co, czy może nie uchapiuł? Gadołżem tobie co wtedy? Narzekoł? Krzycoł?

Obracał, gniótł, mówiąc to, czapkę swą i wodę z niej wyciskał.

Drażniły go widocznie te przypomnienia, bo się znów rozzuchwalał i perzył w miarę swych pytań...

— Co, nie? — nastawał — Nie tak było? Albo jakdo ciebie laz prochfesor wasz, ten moły, porsywiec brudny, pamiętos? pod lipą cyruliczki, w sam sabas zydoski, kiedy go później Storesta kazoł do sądu psywołać?.. Co, moze zmyślam? Co moze i on ciebie nie wzion, nie broł?

Urwał nagle, spojrzawszy na Basię. Godunówką rznął siebie najprzód po kolanie, później po twarzy.

— Basiu! — zawołał rozpaczliwie — Basiu! przysięgam Bogu, że do skoły puńdę!.. puńdę zaroz jutro...

Ale dziewczę, za płaczem, już go nie słyszało. Mówiło łkając, twarz swą w dłoniach utuliwszy:

— Taki sam ty... taki sam ten sędzia... taki sam ten profesor dureń... tacy sami wy wszyscy! Ten trzewiki, ten chusteczkę, a tamten książkę tka, której w domu kupić matuś nie ma za co... Pójdę od was gdzie oczy poniosą!... Będę żydom wodę nosiła, będę im dzieci nauczała, a z wami tu nie wytrzymam... Ani tu doli, ani prawdy, ani dobrego słowa! Tymko już rozumniejszy! On cię jeżeli i zrani twardem słowem, to i kułakiem od napaści obroni...

— Basiu! — mówił do niej Stach głosem więcej niż miękkim i wzruszonym — Basiu! Najdroższa ty moja! moja ty jedyna!...

Kajał się przed rozpłakaną, do kolan sie jej słaniał, niby staroście jakiemu lub naczelnikowi kancelarji polskiej...

W powietrzu coś zahuczało.

Dziewczyna drgnęła od stóp do głowy.

— A pszia-mać twoja! — wrzasnął Tymko Zyzuń nadlatujący galopem z górki.

Ręką jedną w mgnieniu oka pocztyljon lejce ściągnął, drugą dał młynka hamulcowi bryczki — i sam za rowem błyskawicą się znalazł.

— Jezus Marja! — krzyknęła przeraźliwie dziewczyna.

— Ojcze! ojcze! — zakrzyknęło dziecko w bryczce.

Człowiek czarny z pod nakrycia powozu się wychylił, za okulary się chwycił. Deszcz lał z góry jak przez sito grube.

— Ratujcie! ludzie — ratujcie! — wołała dziewczyna, zanosząc się od płaczu i wyciągając ręce ku podróżnym.

— Ojcze to ona!... — wrzeszczał chłopiec mały, rwąc się i pnąc przez wierzch pokrycia powozu...

— Co tobie jest, Kaziu? co tobie jest? — pytał człowiek czarny, ockniony naraz z dum sennych.

Rozległo sią za rowem klaśnięcie jedno, drugie.

— Ona! darł się malec — Maziarzówna!

Człowiek czarny kołdrę z nóg odrzucił, za parasol się porwał...

Ale już Tymko był na koźle.

Rznąwszy przed chwilą raz jeszcze i drugi biczyskiem po oczach Powilańczuka, którego do rowu zwalił, a który daremnie silił się ztamtąd wydostać, — pocztylion hamulec bryczki odkręcił, konie zaciął i polecieli.

— Popamięta teraz pszia jego jucha! — warczał.

Obejrzeć się było trudno, co zaszło, tak się to wszystko stało szybko, doraźnie — jako gdzie kiedy „siła większa" huraganem przejdzie.

Malec tylko nie przestawał krzywić się i wołać, czepiając się rękami za krawędzie nakrycia powozu.

— To ona, ależ to ona ojcze!

— Kto ona? czyżeś zwarjował, Kaziu? Co ci się stało, powiedz? — badał człowiek czarny, odwalając w tył po za siebię budę bryczki.

— Ona! Basia! — zawodząc mówił chłopczyna — ta, co do szkoły przychodziła... comnie abecadła... co mnie pacierza uczyła... śliwki z domu przynosiła... co mnie całując, obiecała że z nami pojedzie... Ojcze!... ach ojcze, zatrzymaj... każ zatrzymać!..

Ale konie jak wichry leciały po drodze gładkiej, równej, zbitej jak głaz, dzwoniącej jak metal — po drodze tej Brzezińskiego.

Więc człowiek czarny spojrzenie tylko po przez mgłę i szarugę mógł posłać w stronę, gdzie biedna dziewczyna wciąż stała z wyciągniętemi ku drodze rękami... Spojrzeniem jej tylko mógł podziękować za opiekę nad dzieckiem, za pierwszy jego w życiu „ojcze-nasz"...

Łza mu gorzka zabłysła na wynędzniałej „żydowskiej" twarzy, zsuwając się po niej na ziemię tę niską, ubogą, smętną, gdzie tyle ludzi dobrych spotkał... nie poznał ich bliżej... do serca ich nie przemówił... i ani jednego ziarna przy drodze ocalić nie mógł...

Lecz łza ta jego nie padła samotnie. Na szarem tle niebios obojętnych, w chłodnej oponie zmarniałych ich deszczów, dojrzał, że tam, pod dębem, na zieleńszej polance, zatoczyła się, i w czerniejącym strumieniu równie zgasła łza druga... jako zapowiedź, jako obietnica, jako przykazanie dla nas — wędrowców ubogich — byśmy nareszcie przestali „pytlować chleb cudzy, i walić z gęby parę pochwał", przez to jedynie, że swego kąta lub kęska nie mamy, i dla tych przedewszystkiem, którzy powstające na niwach naszych ziarnka cnotliwego ubóstwa, deptać tylko umieją karocową swą butą, a sławę sobie krzesać frazesami zpodlałego umiarkowania w rzeczach oświaty publicznej...

Więc podróżny czarną swą twarz podniósł, i wzrok roziskrzony, wartki a nieprzeparty, jak płacz rozkaszlanego jego dziecka, posłał w strony dalekie, odległe, kędy z poza wachlarza tułaczych niepogód i snów uperlonych rosą tęsknoty, wychylało się czarniejsze jeszcze od jego twarzy oblicze wieszcza, w promiennym wieńcu słów nieśmiertelnych:

„Plwajmy na tę skorupę, i zstąpmy do głębi"...

Drezno, dnia 25. paźdz. 1882.

GŁOS KONSERWATYSTY O REWOLUCJONIŚCIE.

(z Wiktora Hugo)

Byłoż to snem ponurym? lub widzeniem dzikiem
Człowiek ten — byłże Persem, Turkiem czy Chińczykiem?
Osobistość poważna i pełna rozsądku,
Należąca do partji tak zwanej porządku,
Rzekła do mnie otwarcie: Śmierć, która spotkała
Owego anarchistę, tego samochwała,
Była sprawiedliwością. Słusznem jest, by siła
Publicznego porządku i prawa broniła.
Możnaż cierpieć, by władzę kiedy roztrząsano?
Zresztą ona jest na to, żeby ją słuchano.
Są prawdy wiekuiste, mój szanowny panie,
Które winno popierać, nawet rusztowanie.
Nowator ten, systema głosił niedorzeczne

Miłość, postęp — i inne rzeczy niebezpieczne —
Wyszydzał starożytną wiarę oprócz tego,
Dla takich filozofów nic nie ma świętego,
Nic oni nie szanują, co jest szanowane;
Żeby doktryny wpajać, wielu podejrzane,
Szedł w świat i nagromadził Bóg wie z jakich krajów,
Pastuchów i rybaków, zgryźliwych hultajów,
Bosonogich włóczęgów, bez grosza, posłania,
Wśród kanalji ucztował i miewał kazania,
Nie zwracał się do ludzi wykształconych frakcji,
Mądrych, wielkich, szanownych, posiadaczy akcji,
Dóbr ziemskich i pałaców. Wprowadzał w błąd masy,
Podnosił w górę palce i czyniąc grymasy
Wmawiał w lud, że uzdrawia kalekę, chorego,
Wbrew krajowemu prawu. Lecz nie dosyć tego:
Zebrawszy koło siebie hultajstwa gromady
Błądził bez celu, mówiąc: wstępujcie w me ślady!
I wiódł ich, bez pasportów, od miasta do miasta,
Musi być podejrzany, kto się ciągle szasta!
Wojnę domową głosił jak najoczywiściej,
Zagrzewał do pogardy i do nienawiści,
Widziano jak się za nim włóczyły pogany:
Jeden kulawy, ślepy, drugi obszarpany,
Trzeci niemy i głuchy, inny jednooki..
Uczciwy człek ze wstrętem cofał swoje kroki
Widząc taką czeredę tego szarlatana.
Podczas pewnego święta, rzecz skonstatowana,
Człowiek ten, za bicz porwał i łając brutalnie,
Deklamując, wypędzał i to dotykalnie
Patentowanych kupców, dowód na to mamy,
Dzielnych ludzi, w świątyni mających swe kramy,
Z upoważnienia kleru. Okoliczność święta,
Bo kler za pozwolenie brał pewne procenta!
Ciągnął wszędzie za sobą coś nakształt dziewczyny
Perorami rozprzęgał podstawy rodziny,
Wszelkie zasady wiary, oraz społeczności!
Podkopywał moralność i prawa własności.
Lud biegł za nim tłumami, opuszczając pola —
To było niebezpiecznem. Dowodził, że rola
Owoc dla wszystkich rodzi — napadał bogaczów,
Pochlebiał biednym. Wołał: Na padole płaczów
Wszyscy jesteśmy równi, a z tego wynika,
Że nie ma wielkich, małych, pana, niewolnika.
Mówił: u Boga miłość, nie siła zwycięży.
Co zaś dotyczy wszystkich bez różnicy księży,
Tych, to darł na kawały. Wszystko to w ulicy
Mógł słyszeć cały motłoch, nawet ulicznicy.
Trzeba było raz skończyć. Władza jest surowa...
Więc go ukrzyżowano. — Te ostatnie słowa
Mocno mnie uderzyły; więc pytam się Panie,
Kto jesteś? kogo tyczy twe opowiadanie?
— Jestem, pisarzem świątyń „Elizabeusem“;
Mówię o tym włóczędze, co go zwą Chrystusem...

M. Rodoć.

Realizm w powieści.

Szkic literacki.

(Ciąg dalszy).

Przypatrzmy się teraz praktycznej, że się tak wyrażę, stronie powieści, temu, co się w najszerszem słowa znaczeniu rozumie pod wyrazem „tendencja“.

Że dążność do moralizowania jest pewną wadą czy zaletą utworów sztuki — to prawda stara, jak świat. Kreacje z wybitnym celem dydaktycznym, są nieprawemi dziećmi sztuki, jest w nich coś obłudnego, udają piękno, by łatwiej się wkraść do rozumu. Ale pojęcia dobra, piękna i prawdy przerastają się wzajemnie, i ostatecznie każdy utwór sztuki niesie w sobie pewne etyczne pryncypia, konieczne już przez to, że są one wytworem życia.

W przedstawieniu owych etycznych zasad, różni się nowszy kierunek od poprzednich sposobów. — Dawniej brał autor pewną prawdę moralną i z nią w myśli pisał powieść, która miała posłużyć do wykazania ujemnych lub dodatnich stron tej prawdy. Wszystko, co nadawało się do jej poparcia, rosło i piętrzyło się druzgocąc prawa równowagi społecznej i psychologii, życie i wypadki rozwijały się w kierunku zasadniczej myśli. W końcu czytelnik miał jak na dłoni udowodnione skutki zbytkownego życia, lub zwycięstwo miłości i moralne zdanie pojące go wstrętem do złego. Ze stanowiska ciasnej moralności, jest to doskonały typ i cel powieści. Słusznie też po dziś dzień pedagogia przepisuje dzieciom ten zbawienny rodzaj umysłowego zajęcia, bacząc roztropnie na to, że smutny los nieumiarkowanego Józia obrzydzi im łakomstwo, a nieszczęśliwa historja chłopczyka, ruszającego nabitą strzelbą, będzie odstraszającem lekarstwem na nieostrożność. Ale wskutek tych bajek prawda życia cierpiała bez końca, a z pod pióra wychodziły istoty blade, anormalne, żyjące jakby posłannictwem pouczającego przykładu. Dziś tendencja inaczej się objawia.. Powieść obiera sobie za przedmiat pewien objaw życia, objaw silnie związany prawem skutku z całym szeregiem poprzednich, prawem przyczyny z przyszłością, i roztacza przed nami szereg objawów namiętności i czynu, — i nie idzie tu o to, czy rzecz zła lub dobra, moralna czy nie — ale idzie o to, czy ona prawdziwa i czy jest obrazem stosunków. Opisuje ona bieg wypadków, obudza drzemiące w duszy instynkta, ale właśnie przez to trzymanie się związku myśli i działań, daje bogaty obraz moralności jednostki czy ogółu, bo w śród tysiąca kolizyj i starcia się uczuć, wpływów i pożądań, wytwarza się w końcu rezultat zły czy dobry, będący wyrazem wspólnego działania tych czynników, noszący na sobie piętno jakieś moralne czy etyczne.

Patrzymy, jak fale życia biją jedna po drugiej na człowieka i urabiają jego charakter, wolę, całą duchową stronę, a potem dociekamy przyczyn upadku lub tryumfu. Ztąd większa część spółczesnych powieści nie kończy się z ostatnią kartką. O n e p o b u d z a j ą m y ś l, w p r a w i a j ą j ą w r u c h s z y b k i, n i e s p o k o j n y, — s t a w i a j ą j a k ą ś w i e l k ą, c i e m n ą z a g a d k ę l u d z k i e j d o l i, i to jest głównym ich charakterystycznym rysem. Sens moralny pochodzi tu nie z wcielania abstrakcji w żywą istotę, ale z wejrzenia w głębię życia, z dotknięcia jego sprężyn. A teraz popatrzmy się, jakie momenta i zjawiska tego życia maluje nam powieść spółeczna, jakie główne jego cechy? Najlepiej przedstawi nam je nowela, jako rodzaj pozbawiony aż do przesady wszystkiego, co nie wchodzi w zakres samej fabuły, samego faktu, wszystkiego, co może się nazwać artystycznym środeczkiem i efektem. Nowela w swych ciasnych ramach tyle zamyka treści, że ta treść rozsadza i dominuje nad formą. Otoż, jak mówi jeden z krytyków „pojawienie się noweli nie jest rzeczą obojętną, lecz stoi w związku z ogólną historją myśli ludzkiej. Już krótki przegląd nowel O u i d y wystarczy, aby wskazać, jak się pojawiły na czasie, w chwili przesytu i gorących pragnień, aby to co złe i niesprawiedliwe, zniknęło z ziemi.“

A tem silniejsze jej działanie, że przedstawia rzeczy codzienne, dobrze znane, obok których przechodzi się w życiu obojętnie, i których okropność dopiero w książce czujemy.

Czyż J a n k o m u z y k a n t jest anomalią, czy jeden Nello konał z gorącego pragnienia sztuki, a żaden mecenas nie podniósł go z błota ulicznego?

Każda prawie nowela, jeźli tylko snuje swą tkankę z codziennego życia, a autor zadał sobie dość trudu, by kwestję ważną, piekącą obrać za temat, jest ukrytą petardą o druzgocącej sile, o strasznych skutkach. A nowela tak jest na pozór niewinna, ładniutka, że trudno ją posądzić o jakieś doniosłe zamiary....

Będzie to jakaś różowa twarzyczka kwieciarki o małych nóżkach, obutych w drewniane buty, będzie jakiś biedny marzący chłopczyna, zapatrzony wśród nocy jasnej w tęczowe okno gotyckiego tumu, jakiś Wawrzuś i Marysia, rzuceni w rojną stolicę nowego świata, bez grosza i bez znajomości języka, — w końcu głupi Michałko pomocnik murarzów, słowem istota słaba bez znaczenia, bez racji bytu w tym wielkim mechanizmie społecznym, a jednak na myśl o nich serce nas boli, i zaciskamy pięść, unosimy się gniewem... i przeciw komu to? kto im winien? Tu szkopuł, tu główny węzeł nowelli.

Nikt nie winien i wszyscy. — Nie widzimy tam żadnego osobistego kata tych ofiar, nikt temu biedactwu nie rzuca rękawicy wyzwania. Więc świat cały winien, winny stosunki, winna obojętność ludzkości — za te jęki drobne, ciche, jak brzęk skrzy-

deł komara, a jednak straszne swą powszednością. A czemu tak jest, a nie inaczej? tu już nie ma żadnej odpowiedzi, chyba taka jaką dał król chłopków pokrzywdzonemu kmieciowi: „Masz krzesiwo w trzosie, a huba w lesie rośnie.“

Ale nowella, to już kwiat realizmu nowszego, to kwintesensja pytań społecznych, których ostre cierniste krawędzie owija barwna, puchowa tkanka poezji. Słusznie też o niej krytyk powiedział, że jej pogodne blaski łatwy przystęp znajdą tam, gdzie poważne słowo myśliciela nie trafi.

Głównym motywem powieści jest walka z przesądem w najrozleglejszem znaczeniu, i to według osobistego zapatrywania, jakie sobie autor w życiu wyrobił. I tak Freytag w swej powieści „Soll und Haben“ wprowadza nas tam, gdzie wre mrówcza praca i mrówcza ruchliwość niemieckiej burżoazji i wykazuje nam, że nie szlachecka junakerja, lecz bohaterstwo kantoru i łokcia w swej matematycznej sumienności i uczciwej pracy, dają państwu gwarancję trwałego bytu.

Kiedy Emil Zola roztacza przed nami wnętrze Paryża w powieści: Le ventre de Paris i opisuje nam ów syty, wygodny i ciasny, egoistyczny i moralnie lichy świat rybnego targowiska i masarskich zakładów, gdzie rozlega się hasło, że spokojny kąt, dymiący półmisek, wstęp na honorowe miejsce w parafii i sposobność pokłócenia się 7 razy w tygodniu, warto okupić małą podrostką; kiedy powtarzamy na tle tego świata tragicznie rysuje postać czułego, nerwowego marzyciela wolności, który z narażeniem życia ucieka z Kajenny i na pół umarły z głodu staje w Paryżu, by znów głosić swe idee; kiedy inna autorka (choć trudno ją policzyć w zakres realistów) Zofia Szwarc pisze jednę powieść za drugą, a w każdej jedna myśl, jedni występują ludzie, którzy po za omszałą tarczą herbową i szeregiem poczerniałych płócien nic w małodusznem odosobnieniu nie widzą, ludzie tacy jakich Balzac umieścił w swym gabinecie starożytności, zamykających uszy i oczy na postęp nauk i spółczesnych haseł, jednem słowem arystokraci, którzy swojego wysokiego stanowiska ani nie rozumieją, ani nie używają, to ci ludzie z powieści stykają się z innymi ludźmi, z wielbicielami wolności, żelaznej pracy, osobistej zasługi, i pod ich wpływem przemieniają się w energicznych braci ludu.

Ta sama walka z przesądem cechuje i naszą literaturę.

Weźmy naprzykład kwestję socjalną, jak ona się przedstawia u różnych autorów. Kraszewski w swej powieści „Szalona“ którą par excellence starał się przeprowadzić realistycznie, i w której tendencja wpada na pierwszy rzut w oko, przeprowadza nam młodą, piękną, inteligentną kobietę przez całe piekło stopniowego upadku, przewrotu pojęć, zatarcia uczuć familijnych, konkubinatu, i w końcu odartą ze wstydu rzuca na bruk paryski, w wir kawiarnianego zgiełku, upojoną absyntem. Nie tu miejsce sądzić, czy ten sposób walki z najważniejszem zagadnieniem wieku, jest sumienny czy nie; bądź co bądź widzimy, że autor głosem Cicerona woła: „Caveant consules“...

Orzeszkowa znowu z innego punktu traktuje to samo pytanie i w Sylwku cmentarniku walczy z przesądem. A „Pańskie dziady“ Bałuckiego czyż to nie jeden z tych głosów, choć w innym tonie! Stolarzowi konającemu prawie z głodu, kazano sprawić pogrzeb żonie zmarłej w szpitalu, inaczej pokrajana przez uczniów, pójdzie w wspólnej trumnie na cmentarz. Stolarz nie ma ani grosza, więc idzie do jednej z dam, dzierżących w swych rękach skarbonkę miłosierdzia. Wyczekawszy się w sieni na mrozie, staje w końcu przed obliczem rozdawczyni; nie dano mu nic, bo gotówkę wyniósł prz d chwilą wyzyskiwacz, grożący publikowaniem skandalicznych historyjek.

Widzimy z tych trzech przykładów, że wszystkie one rozwiązują to samo pytanie w różny sposób.

W ogóle, jak tu przebija pewna dążność do roztrząsania najdonioślejszych kwestyj jedna po drugiej — tak w całej nowszej powieści czytamy odbicie prądów, nurtujących łono naszego czasu.

(Dokończenie nastąpi)

Młoda matka.

Opowiadanie prawdziwe.

Pan sędzia H... był człowiekiem w sile wieku, i uchodził ogólnie za co najmniej okazałego, jeżeli już nie ładnego mężczyznę. Dzięki swojemu stanowisku urzędowemu i odziedziczonemu niedawno spadkowi, pod każdym względem niezawisły, miał życie wcale wygodne; od ludzi nie uciekał, przeciwnie w pożyciu towarzyskiem był nader miły i uprzejmy, więc też dziwiono się ogólnie, że pan sędzia dotychczas był kawalerem, i mimo swojego szczególnego upodobania w życiu rodzinnem, nie usiłował stworzyć sobie własnego ogniska.

Po ukończeniu przepisanych studjów, jako praktykant sądownictwa, później adjunkt, sędzia samoistny i t. d. wiódł z konieczności żywot koczowniczy, w ciągu którego poznał mnóstwo miejscowości w kraju, i niemal wszystkie panny na wydaniu, córki swoich przełożonych. Młodego i eleganckiego pana sędziego, który się zawsze tak korzystnie prezentował, że nikt nigdy nie zmiarkował dość szczupłej jego sytuacji finansowej, wciągano chętnie we wszystkie towarzystwa, zapraszano na wieczorki z tańcami, partje wistowe i rozmaite inne zabawy, i zaledwie w którem miasteczku pobył trzy tygodnie, zaraz stawał się przedmiotem cichej spekulacji ze strony tej i owej matki, mającej córkę na wydaniu.

Otóż — aby wyznać prawdę, pan sędzia H... zanim odziedziczył ów mająteczek, nie rozporządzał najskromniejszym nawet zasobem mamony, a nadto z pensji swojej wspierał stale dwie młodsze siostry. To też gdyby go była ochota zebrała ożenić się w tych czasach, byłby zgotował sobie djabelnie kusą egzystencję. Na szczęście pan sędzia kochał szczerze swoją wolność kawalerską, a kochał ją tem silniej, im częściej i natarczywiej narażany był na jej utratę. Nie przeszkadzało mu to jednak uważać małżeństwo jako bardzo pożyteczną instytucję, w rozmowach towarzyskich często z niekłamanem współczuciem narzekał na fatalną dysproporcję liczby panienek będących na wydaniu, a mężczyzn dla myśli matrymonialnej wrogo usposobionych, i przy każdej sposobności gorąco bronił płci pięknej. Mimo to wszystko z drugiej strony polowanie na mężów uważał za robotę śmieszną a nawet wstręt budzącą, i pewnego razu na zabawie, gdy gospodyni domu mająca oczywiście dojrzałą córeczkę prześladowała go uprzejmością i słodyczą, wyznał bez ogródki na ucho młodej mężatce, żonie swojego kolegi urzędowego, że postanowił sobie asystować odtąd tylko... mężatkom. — „Bo proszę pani — mówił tonem wyraźnego oburzenia i niechęci — niepodobna bawić się swobodnie z którąkolwiek panienką, a broń Boże już, ot, tak z grzeczności ofiarować jej bukiet, lub na tym samym wieczorze kilka razy z jedną z nich tańczyć, aby w lot nie swatano z nią człowieka. Jednego ranka jużeś zaręczony, a nazajutrz skargi i lamenta, żeś ją porzucił. Przyzna pani, że to wcale sytuacja nie do pozazdroszczenia!“

Stosownie do tego postanowienia, konsekwentnie trzymał się towarzystwa wyłącznie kobiet zamężnych, i często wśród mężczyzn dawał się słyszeć na pół serjo, na pół żartem, że koledzy pozabierali najładniejsze kobiety, a tych które zostały, ani porównać z tamtemi! Swobodny i wesół z kobietami, raził pozornym chłodem i obojętnością każdą pannę, to też w końcu te ostatnie wido

cznie od niego stroniły. Pan sędzia rad z tego — choć mówiąc nawiasem lata nie stały na miejscu, i elegancki kawaler powoli starzał wyraźnie — przyjmował chętnie rolę przyjaciela domu wielu małżeństw młodych, i zdawał się być zupełnie zadowolonym ze spokojnego przyglądania się domowemu szczęściu swoich dobrych znajomych. Od dzieciństwa przywykły do pożycia rodzinnego, nie znał większej rozrywki po biurowej pracy, nad kilkogodzinną gawędę u pani radczyni lub doktorowej, którą zwykle prowadzno w dziecinnym pokoju.

Niewinne zabawy i igraszki dziecinne zachwycały go szczerze, i nie jedna czarująca piękność na balu mniej mu się podobała, niżeli każda młoda, skromna matka w kole swoich dziatek. Urok, którym kobietę otacza troskliwość macierzyńska, robił na nim najprzyjemniejsze wrażenie. „Dopiero szczęście matki — powtarzał często — udoskonala kobietę! Co głównie podziwiamy w madonach Leonarda da Vinci, Rafaela, Tycjana, to właśnie sprawia tam wyraz najwyższego szczęścia macierzyńskiego; nie jedna szczęśliwa kobieta z ludu służyła za modelkę owym artystom do tych arcydzieł niebiańskich. Ten właśnie uroczy wyraz madony, znachodzę i dziś w twarzy każdej młodej matki, przyczem mimowoli przypominam sobie tę czułość i słodycz, z którą moja matka na mnie spoglądała.“

— Jeżeli się H... kiedy ożeni, wybrana jego będzie niechybnie wdową z kilkorgiem dzieci... — żartował sobie sędzia R... — Bo przecież prawdopodobnie nie będzie wymagał, aby który z nas z miłości dla jego fantastycznych kaprysów, rozwodził się z swoją najdroższą połowicą!

Z kolei proponowano mu różne wdówki, do jarzma małżeńskiego skore, lecz rzecz dziwna, nie usiłował nawet którąkolwiek z nich poznać, jakkolwiek polepszone stosunki finansowe pozwalały mu, już na serjo pomyśleć o stworzeniu sobie rodziny. Widocznie było, że znajdował rozkosz jedynie w illuzjach, bo cofał się ze strachem, ilekroć ideały jego mogły były być bliskiemi urzeczywistnienia — jak gdyby się obawiał, że rzeczywistość nigdy tego nie da, co fantazja przyrzekła. Tak mijały lata, wreszcie po długiej wędrówce z miasteczka do miasteczka, sędzia „zarozumialec“ — jak go panny przezwały, dostał się do stolicy.

Jakkolwiek ruch wielkomiejski odpowiadał żywemu usposobieniu towarzyskiego sędziego, i długie lata był przedmiotem gorących jego życzeń, mimo to znalazłszy się tam, już po krótkim czasie zatęsknił szczerze za dobrymi znajomymi i spokojnem życiem małego miasteczka. Najbardziej dobrowe towarzystwa stolicy nie smakowały mu obecnie, zrobił się za wygodnym, by się do nich stosować ciągle. Te sztywne zebrania i ceremonialne recepcje wnet mu zbrzydły nieznośnie, a jednak ani mógł, ani chciał wyrzec się ich zupełnie. Za każdym razem, ilekroć wybierał się na takie zabawy, wzdychał ciężko, wahał się, ociągał, w końcu szedł, jak gdyby mu to nakazywał jakiś obowiązek surowy.

Tak samo było pewnego wieczora lutowego, gdy znowu „wypadało“ mu pójść na jakiś raut czy piknik. Powietrze było wyjątkowo niezwykle łagodne i ciepłe, i byłby niechybnie wolał użyć pieszo przechadzki, gdyby nie obawa zabłocenia nowych trzewików lakierowanych. Nadjechał właśnie wóz kolei konnej, dążący w tę samą stronę. Wsiadł, a równocześnie z nim zjawiła się młoda elegancka kobieta, za nią piastunka z małym dzieciakiem na ręce. W pełnym już wagonie z trudnością przyszło mu zrobić miejsce dla siebie, i z kurtoazji dla przybyłej kobiety. Gdy nareszcie usiadł — a przypadek zdarzył, że właśnie naprzeciw młodej nieznajomej, z ciekawości zupełnie usprawiedliwionej, począł się jej przypatrywać. Po chwili obserwacji, aż się przestraszył, tyle podobieństwa znalazł w jej twarzyczce do wymarzonego ideału madony! Taki sam ujmujący owal twarzy, łagodne jak u sarneczki oczy, drobne uśmiechnięte usta, ciemno orzechowe włosy — słowem zjawisko czarujące! Spojrzenie jej spoczywało ciągle na dzieciaku, będącym na rękach piastunki, a był to chłopak wesoły, który ustawicznie śmiał się do pięknej mamusi. Ta ze swej strony usiłowała w coraz to nowy sposób skrócić malcowi jednostajną jazdę. Obracała mu przed oczyma balonik, raz mu go podawała, to znowu odbierała z przymileniem, ciągle o coś pytała — z czego on zdaje się nie wiele rozumiał, choć każdy raz przeciągłym chichotem odpowiadał — głaskała go po krągłym rumianym buziaku, gdy na chwilę spoważniał — słowem zajęta nim była z troskliwością rozczulającą. Konduktor — człek już nie młody, — zapomniał o swoim obowiązku, i przypatrując się z upodobaniem igraszkom domniemanej matki z dzieckiem, zauważał, że i on ma w domu podobnego „hultaja“. A wszyscy siedzący w wagonie uśmiechali się do dziecka i bawili pozornie jego figlami, jakkolwiek chcieli właściwie w ten sposób przypodobać się ślicznej matce. Ona jednak — zdawało się przyjmowała przyjacielskie spojrzenia wyłącznie na rachunek malca, i widocznie ani demyśliwała się, że przedewszystkiem jej piękność urocza była przedmiotem ogólnego zajęcia. Na jednym z przystanków, wsiadła jakaś staruszeczka z gminu, i zwyczajem starych, poczęła indagować o wiek dziecka, sposób chowania, dziwowała się, że tak pięknie wygląda i t. p. Nieznajoma odpowiadała na liczne pytania z przyjacielską otwartością, na koniec z uśmiechem podziękowała staruszce za uwagę, aby malca dobrze otulić przed chłodem wieczornym, wiejącym od drzwi wagonu.

Całej tej rozmowie p. sędzia H... przysłuchiwał się z taką uwagą, jak gdyby w biurze słuchał zeznań świadka do protokołu. Przytem obraz pięknego v i s - a - v i s coraz wyraźniej odbijał mu się w umyśle. Umiejąc rysować, byłby ją z pewnością umiał z pamięci zportretować najdokładniej w świecie; i elegancki płaszczyk, i aksamitny kapelusik z ciemnoróżowem piórkiem, i te drobne rączki w popielatych rękawiczkach, nawet maleńka nóżka w eleganckich obcisłych bucikach nie uszła bacznej uwadze pedantycznego pana sędziego. Od czegoż bo był sędzią śledczym! A gdy pomyślał sobie, że lada chwila utraci z przed oczu to cudowne zjawisko, istny dreszcz żalu i przestrachu ziębił go całego — poczem ze zdwojoną pilnością wpatrywał się w pogodną twarzyczkę ślicznej kobiety, że ta aż rumieniła się, formalnie odczuwając uporczywie ją śledzący wzrok nieznajomego. W tem konduktor zadzwonił, i piękna podniosła się z miejsca, przyczem opuściła balonik dziecka, a sędzia miał to szczęście, że go w locie pochwycił, i z uprzejmością, na jaką go tylko stać było, podał właścicielce. Tymczasem na ulicy deszcz począł padać gęsty, i właśnie H... chciał ofiarować jej swój parasol, gdy w tem zjawił się u stopni wagonu jakiś mały jegomość, który widocznie tutaj na nią czekał. Podał jej ramię, i za chwilę urocza kobieta, z piastunką i dzieciakiem, i tym niepokaźnym towarzyszem, zniknęli mu z oczu.

— Szczęśliwy człowiek!.. — pomyślał H... jadąc dalej — szczęśliwy człowiek! — szeptał jeszcze w duchu z serdecznym jakimś żalem, choć już wchodził do rzęsiście oświetlonych salonów recepcyjnych.

Z dwudziestu kilku nazwisk pań i panów obecnych, z którymi z konieczności został zaznajomiony, nie zapamiętał tego wieczora — ani jednego. Zawsze elegancki i uprzejmy sędzia, zrobił tym razem na zabawie wrażenie nieznośnego, sztywnego odludka. I mogłoż być inaczej, gdy umysł jego był zaprzątnięty jedynie myślą, gdzie też mieszkała urocza nieznajoma, jak się nazywała, kto był jej mąż, zapewne ów malenki komiczny człowiek? To ostatnie zwłaszcza pytanie drażniło go niewymownie — byłże kupcem, uczonym, sędzią? Niech go kaci porwą! — kończył w myśli, ilekroć o nim wspomniał w duchu.

Znał przecie dotychczas tylu mężów, z których żonami bawił się wyśmienicie, a ani jednego z nich nie przeklinał nigdy. Dopiero ten nieznajomy wydał się mu od pierwszego wejrzenia okropnie nieznośnym — Jakżebo niezręcznie podawał ramię tej ślicznej kobiecie, i chyba trzeba być ślepym, aby nie widzieć, że przerażająco niedobrana z nich para! — powtarzał sobie raz po raz, dławiąc się niewytłumaczonym gniewem i oburzeniem.

Nazajutrz dzień był śliczny wiosenny, i pan sędzia postanowił pójść na daleką przechadzkę, tem bardziej, że obecnie wytrzymać nie mógł ani godziny w czterech ścianach kawalerskiego mieszkania. Poszedł do publicznego parku w tej nadziei, że może wśród tłumów ujrzy jasny płaszczyk nieznajomej. Lecz napróżno wytężał oczy na wszystkie strony — wprawdzie nie jeden taki i podobny płaszczyk dostrzegł — bo w końcu ileż to takich okryć fabrykują co roku modystki — lecz upragnionej nieznajomej nie spotkał nigdzie. — Już się zabierał uciekać z gwarnego ogrodu, i w tym celu wybrał krótszą drogę, która wiodła mimo szerokiego placu, przeznaczonego na zabawy dla dzieci. I tu było pełno — ciepłe słońce wywabiło mnóstwo malców z matkami, bonami i niańkami. Mimochodem rzucił okiem na różnobarwną gromadę — i o dziwo! dostrzegł nagle niebieski burnusik wczorajszego dziecka z tramwaju, i ciemnoróżowe piórko na kapelusiku młodej kobiety. Brakło mu oddechu w piersiach... Czemuż ten park nie był w tej chwili jakim borem dzikim, wśród którego ona mogłaby zabłądzić, gdzie co krok czatowały by na nią niebezpieczeństwa, a on, jak rycerz w bajce, miałby sposobność ratować ją i bronić! Jakże ochoczo byłby się narażał dla niej, a tymczasem w rzeczywistości, mógł tylko przejść koło niej, i przywitać ją konwencjonalnym ukłonem. Gdy go ujrzała, zdawało się że go poznała, i zpłonęła wyżej uszu. Po chwili — jak gdyby ją co pędziło, poczęła nagle gotować się do odejścia, niańka przywołała dorożkę, i wnet piękna nieznajoma, dzieciak i piastunka, zniknęli zdumionemu sędziemu z przed oczu. (D. n.)

CLAUDE LORRAIN.

Szkic artystyczny z powodu 200 rocznicy jego śmierci.

W stolicy Lotaryngii odsłonięto 21 listopada b. r. jako w dwóchsetletnią rocznicę śmierci wielkiego artysty, pomnik Klaudjusza Gelce, zwanego Lotaryńczykiem. Dzienniki francuskie rozbierają z tego powodu zasługi Claude Lorraina, i uważając je w perspektywie z historycznego stanowiska, piszą o jego znaczeniu i wpływie na historję malarstwa w ogóle, a pejzażu w szczególności, a wszystkie, pomimo ogromnej różnicy, która dzieli wyobrażenia naszych czasów o sztuce, od zapatrywań wielkiego mistrza lotaryńskiego, przyznają mu, że stworzył epokę. O tak wpływowym artyście i nam więc godzi się głos zabrać, choćby tylko dlatego, że przy tej sposobności będzie można powiedzieć kilka słów o zasadach sztuki, i streścić zapatrywania nowsze na Claude Lorraina które zasadniczo różnią się od dawnej opinii.

W loggiach pinakoteki monachijskiej uwieczniony jest Claude Lorrain pędzlem wielkiego Corneliusa: Artysta ściga wzrokiem zachodzące słońce, amor dotyka różowym paluszkiem lutni jego, zdala podchodzi do niego Psyche z podwójnym fletem,, a Zefir wietrzyk łagodny pędząc przed sobą chłodzi jego czoło.

W tym obrazie zamknięty cały żywot Klaudjusza Gelée. W jego obrazach czuć że amor, kochanek natury grał na jego lutni, drzewa jego lekkim poruszane wietrzykiem żyją i cieszą się blaskami słońca, które zdaniem samego artysty, było jego jedynym nauczycielem.

W epoce zmanierowanego zopfu, nikt lepiej, głębiej i cieplej nieodczuwał natury od Klaudjusza Lataryńczyka. Ani Poussin ani Kasper Dughet, o lepsze z nim współubiegać się nie mogą. Dał mu takie świadectwo nawet genialny Humboldt, zwąc go „idylicznym malarzem światła i wonnej oddali.“

Podstawą do ocenienia, a raczej zrozumienia dokładnego artysty, jest życie jego. O życiu Klaudjusza Gelée nie wiele jednakowoż da się powiedzieć. Utrudnia to poniekąd scharakteryzowanie talentu, ale same dzieła jego tłumaczą nam dość jasno usposobienie wielkiego pejzażysty i na tej podstawie będziemy się też starali stworzyć pełny obraz tego największego lubownika natury w XVII stuleciu.

Z pozostałych wiadomości o życiu Klaudjusza Gelée, najwięcej wiarygodnem jest świadectwo współczesnego mu Sandrarta. Późniejsze wiadomości, podane przez Baldinuccego, nie ostały się pod skalpelem nowszej krytyki historycznej, a i to, co wiemy zkąd inąd o jego życiu, a zwłaszcza młodości, po analizie Karola Blanca okazało się bardzo nieprawdopodobnem. Pozytywnem jest tylko tyle, że Klaudjusz Gelée, czy jak się sam pisał Gillée, urodził się w zamku Chamagne niedaleko Epinal w r. 1600, że ojciec go odumarł gdy miał lat 12, poczem młody Klaudjusz, jak opowiada Sandrart, ruszył do Rzymu, gdzie przyjęty został do służby przez niejakiego Agostina Tassi, malarza, u którego pełnił wszelkie obowiązki służącego, rozcierał farby i czyścił palety i pendzle.

Wspomniany Tassi († 1642) był jednym z najznakomitszych uczniów Pawła Brila, a wykształcony na pejzażach Tycjana i Annibala Carracci, odznaczał się wielu zaletami, które później w wyższym daleko stopniu posiadł Lorrain.

Tyle tylko wiemy dotychczas o młodości wielkiego pejzażysty. Więcej jak pewne, że pierwsze wykształcenie odebrał od Tassego i że później (w r. 1625) wrócił do ojczyzny, gdzie jak twierdzą jego biografowie spodziewał się zdobyć lepsze stanowisko. Obliczenia te okazały się fałszywe. W r. 1627 powrócił do Rzymu, i odtąd zaczynają się dlań świetne czasy. Pierwszy kardynał Bentivoglio, kupił kilka obrazów od niego, i zachwycony ich pięknością pokazał je papieżowi Urbanowi VIII, który natychmiast zamówił kilka innych dzieł Lorraina dla siebie. Niemniej przychylny był dla niego papież Inocenty X., a sława Klaudjusza wzrosła wskutek tego tak wysoko, że o dzieła jego dobijano się, a Lorrain mógł za nie żądać bajeczne i niesłychane dotąd ceny. Ta pokupność jego obrazów spowodowała innych malarzów do naśladowania maniery Lorraina, i wydawania ich za dzieła oryginalne sławnego artysty, co stało się dlań przyczyną wielu utrapień. Gelée umarł w listopadzie 1682 r. i pochowany został w kaplicy Santa Trinitade'Monti. Thiers sprowadził w r. 1840 zwłoki Lorraina z Rzymu do Paryża. Tam leżą też popioły genialnego pejzażysty, a nad niemi wznosi się pomnik dłuta Lemoin'a, przedstawiający w alegorji malarstwo.

Claude Lorrain był dzieckiem swojego wieku. Pomimo wrodzonego, jeżeli tak się można wyrazić, poczucia natury, patrzył on na nią przez szkła XVII stulecia, które w stylu kartonowym barrocca i zopfu, widziało wzór wykwintności i smaku, wytrefionych bohaterów Racin'a uważało za prawdziwy klasycyzm, a wymuszone dygi dworskie za szczyt dobrego tonu. Wiek ten miał swoje właściwe spojrzenie na naturę, i zupełnie w czem innem, jak słusznie dowodzi Riehl w swych „Culturstudien“ widział prawdziwe jej piękno, aniżeli wiek romantyków, lub nasza dzisiejsza epoka. Monotonna płaszczyzna z widokiem gubiącym się w oddali, była ideałem krajobrazu. Pejzażysta ówczesny unikał też starannie gór niebotycznych, urwisk, skał dzikich i rozpadlin, a w razie koniecznym łagodził ich kontury i zaokrąglał.

I Claude Gelée więc niemógł wznieść się po nad wiek swój, a chociaż stanął na czele wszystkich pejzażystów europejskich w tym wieku, uległ słabostkom stulecia, i wraz z Poussinem stworzył za przykładem A. Caraccego pejzaż idealny.

Krajobraz Lorraina ma olbrzymie zalety. Linie jego są miękkie i pełne harmonii, a objawy świetlne rozmaitych pór dnia, prawie godzin, iście odkradzone są naturze, i jak powiada bardzo trafnie Carriere, przypominają zawsze ten wiersz Uhlanda:

„Der Himmel ist so feierlich,
So ganz als wollt'er öffnen sich:
Dies ist der Tag des Herrn!"

Jakaś jasność i czystość, lejąca uspokojenie w serce widza, zadziwiaj w pejzażach Lorraina. Zdaje się, że wśród liści drzew jego wieje lekki zefirek, że z oddali płynie ku nam orzeźwiające powietrze.

Ale mimo tego bogactwa światła, mimo prześlicznego nieba, nie jest to jeszcze natura ta, którą nam stworzył pejzaż dzisiejszy, który umie odgadnąć charakter i typ każdej okolicy, a nadać cechę właściwą najmniejszemu widokowi. Znamieniem charakterystycznem naszego pejzażu jest tz. Stimmungsbild. Nie znała go wcale epoka pejzażu idealnego czy heroicznego, nie znali go pejzażyści romantyczni, kochający się w dzikich urwiskach i wądołach, a odczuwali go tylko malarze niderlandzcy.

U Lorraina, tak samo jak u wszystkich pejzażystów tej szkoły, natura wygląda zanadto wymuskana, a jak mocno zmieniły się pod tym względem zapatrywania, dowodem najlepszym będzie to, że krytyka dzisiejsza nie uznała za najlepsze tych właśnie dzieł jego, które on sam i współcześni za najznakomitsze uważali, nie uznała za najlepszy ani pejzażu z królową Esterą, ani owego prospektu villi Madama, którego nie chciał Gelée sprzedać za tyle dukatów, ile się ich w ramach obrazu zmieści. Owszem za najpiękniejsze dzieła jego uznają obecnie znany z licznych reprodukcyj „Młyn" z galerji Doria w Rzymie, tudzież widok morski z królową Sabą, znajdujący się w galerji narodowej Londyńskiej. Oba te widoki odznaczają się prawdą i głębokiem poczuciem natury.

Przegląd literacki.

(Geschichte der polnischen Literatur von Heinrich Nitschmann. Leipzig, Friedrich (w dużej 8ce — VIII do 500 str.)
(Dokończenie).

Co się tyczy omówienia pojedynczych autorów, to istotnie przyznać należy, iż autor rozczytał się na dobre w dotychczasowych pracach na polu literatury polskiej. Co do dawniejszych epok, omawia pisarzy sprawiedliwie, stosownie do znaczenia jakiem ieli, to obszerniej, to mniej obszernie. Dopiero w naszem stuleciu metoda ta zmienia się. Natychmiast uderza n. p. bardzo szerokie omówienie Mickiewicza, w porównaniu ze szczupłemi ramami obrazów działalności Słowackiego i Krasińskiego.

Przyczyna tej dysproporcji jest następująca. P. Nitschmann dawno, nim myślał o pisaniu literatury polskiej, zaczął przekładać rozliczne wiersze poetów polskich. Umieszczał je w swoim „Polnischer Parnass," w każdem nowem wydaniu dodając wiersze, w międzyczasie przezeń tłumaczone. A ponieważ tłumaczył i z większych poetów i z najmniej znanych, tylko ze względu na sam wiersz, który czasem i nieszczególnemu skądinąd poecie udać się może, przeto już w swym „Poln. Parnass" nagromadził był wiele imion, niepotrzebnych dla obcego czytelnika, mogących u tegoż budzić mniemanie, iż są to stellae fixae.

Tymczasem coraz wzrastał zasób tłumaczeń p. Nitschmanna.. koniecznie trzeba było się oglądnąć za jakimś magazynem dla nich, a tym magazynem stała się historja literatury. Wszystko co p. Nitschmann jeszcze posiadał z tłumaczeń, tu umieścić zamierzał i umieścił. „Ein für allemal sei bemerkt, dass sämmtliche Literaturproben im vorliegenden Werke, vom Verfasser desselben übersetzt sind," czytamy na str. 5. Oprócz prób wyjętych z „Poln. Parnass", jest tu całe mnóstwo nowych tłumaczeń, a wszystkie pióra p. Nitschmanna. Jeżeli gdzie, to na polu usiłowań umysłowych, powinne być wykluczone: wszelki egoizm, wszelka małoduszność; powinniśmy dążyć do jednego celu, nawzajem sobie pomagać, jeden uczyć się od drugiego, jeden dopełniać drugiego. Przeciw tej zasadzie, że nie jednostki, tylko sprawa górować winna, zgrzeszył p. Nitschmano, tylko swoje przekłady umieszczając.. Nie bralibyśmy mu tego i wtedy za złe, gdyby z dzieł, które oprócz innych i on tłumaczył, swój przekład umieszczał; ale on z dzieł takich, których sam nie tłumaczył, choćby i największą miały wagę, żadnego, nawet najdrobniejszego wyjątku nie przytacza, — a za to dzieła bardzo małą wartość posiadające, omawia i przytacza, jeżeli sam je tłumaczył. W taki sposób szerokie miejsce zajmują pisarze drugo i trzeciorzędnej wartości, a pisarze lub utwory pierwszorzędne, jeżeli dotąd nie doznały szczęścia dostania się pod pióro p. Nitschmanna, po macoszemu traktowane. N. p. Zmorski zajmuje 7 stron, Gustaw Zieliński 8 wierszy, a Hołowiński wzmianką o trzech liniach zadowolić się musi. A nawet w ustępie zresztą obszernym o Mickiewiczu „Konrad Wallenrod" słabo występuje, bo z niego nic Nitschmann nie tłumaczył, a również zaniedbane i „Dziady".

Takich możnaby przytoczyć całe mnóstwo przykładów. Ale nawet i wówczas, gdy żadnego tłumaczonego przykładu niema, p. N bardzo niesprawiedliwie postępuje, pisarzy, którzy na wzmiankę a często obszerniejszą, niż omawiani, zasługują, wcale ignorując. Tak n. p. Pług zajmuje więcej niż pół strony, Rogosz, Lam, Chłędowski i inni wymienieni.. a Jeża Miłkowskiego nawet nazwiska nie ma. Z historyków żyjących są Bobrzyński, Smolka, Wojciechowski, Liske, o którym cała strona, z wymienieniem pism w 5 językach wydanych (!), traktuje, a Kubala, Tatomir i t. d. nie wymienieni Pomiędzy dramatykami są ślusarczyk Staszczyk, autor „Nocy Świętojańskiej", Galasiewicz („Czartowska ława"), i drukarz Łętowski („Uroki"), a nie ma n. p. Bronisława Komorowskiego i t. p.

Dosyć, iż skutkiem tej nierówności w traktowaniu, czytelnik obcy zupełnie fałszywe wyobrażenie o znaczeniu wielu autorów wyrobić sobie musi. W ogóle co do nowszych i najnowszych czasów powinien był autor ograniczyć się na małej ilości pisarzy, na pisarzach wybitne i ustalone zajmujących stanowisko — ale też tych omawiać wszechstronnie i sprawiedliwie. A istotnie tak się dzieje, że p. Nitschmann przy Słowackim wymienia „Die polnischen Erzählungen: Lambro, Wacław, Bieniowski," sprzęgając razem tak różnorodne utwory, nic więcej o nich nie, mówiąc a przy Syrokomli o „Janie Dęborogu" nawet nie wspomina i t. d.

Co do tłumaczeń, których obfity zbiór jak już wspomniałem tu umieszczony, zawsze się one łatwo czytają, a wiele jest wierszy tłumaczonych znakomicie. Ale często wybierając metrum nieodpowiednie, mianowicie za krótkie wiersz w stosunku do oryginału, p. Nitschmann jest zmuszony wiele piękności oryginału uronić, a zawsze prawie brakuje mu dobitnych wyrażeń siły. Charakter oryginału często się zaciera. Dlatego tłumaczenia p. N. obcemu czytelnikowi nie znającemu oryginału, się podobają, a dopiero gdy weźmiemy do rąk oryginał, wydają się o zbyt słabych nerwach. Ale gdzie nie chodzi o oddanie jakichś silniejszych, charakterystyczniejszych akcentów, tłumaczenia są bardzo dobre, powtarzany — nieraz znakomite.

W dziele swem omawia p. Nitschman muzykę polską, z wielkiem jak wszędzie zamiłowaniem i szacunkiem dla naszego narodu. Bardzo dobrze uczynił, bo wolno było w dziele dla obcej szerszej publiczności przeznaczonem, już i te objawy oświaty, bardziej niż poezja do kosmopolityzmu się nakłani

jące, uwzględnić. Na końcu autor gorąco przemawia za językiem wykładowym polskim, podnosi zalety i jedynie zbawienne zastosowanie tego systemu, i omawia uniwersytety krakowski i lwowski, wymieniając z pochwałą wielu z docentów czasem słusznie czasem niesłusznie, a znów niejednego zasłużonego pomijając.

Przytem wydarzył się autorowi zabawny przypadek, iż w alfabetycznym spisie imion na końcu dzieła oprócz innych jak Baroniusa, Dubrowskiego jako nie-Polacy tu nie należących, umieścił także Buhla i Sauera, o których w dziele wspomina, iż wykładają u nas po niemiecku. Takim sposobem dostali się ci dwaj giermanowie do literatury polskiej, o czem z pewnością nigdy nie marzyli.

Kończący dzieło ustęp o czasopismach polskich, przedmiotowo i spokojnie, a w ogóle zgodnie z prawdą napisany.

Summa: dzieło p. Nitschmanna jest pierwsze o szerszych rozmiarach dla publiczności niemieckiej napisane, napisane z najlepszą, najżyczliwszą wolą, z uszanowaniem dla historji i praw narodu polskiego; dzieło o lekkim stylu, o przystępnym wykładzie. Wadami jego: wymienienie nader wielkiej ilości nazwisk, sztuczne tworzenie wielkości, nierówne uwzględnianie autorów i pojedynczych dzieł, w stylu nieraz niedbalstwo i rozrzucenie szczegółów, które powinne być bardziej skupione. W ogóle dzieło wychodząc w zbiorze, dla którego wydawca o puzany się postara, dzieło o 30 arkuszach, nie dające się tak łatwo przeoczyć, przyczyni się do tego, iż wielu Niemców ocknie się z błędnych co do języka i literatury naszej zapatrywań, na jakie niestety jeszcze ciągle napotykamy.

Dr. Albert Zipper.

(„Wszyscy za jednego“ — fraszka — nap. Włodzimierz Wysocki. Kijów. Nakład księgarni Bolesława Koreywy. 1882. r- str. 56 in 8vo.

Tak miejsce wydania jak i tytuł, jeden z tych szumnych frazesów, którymi posługiwać się tak często lubimy — nie mało rozciekawiają czytelnika. Dozna on rozczarowania, gdy się spodziewa wiązanki patrjotycznej frazeologii — nie dozna, gdy pragnie poznać prawdziwy obraz życia polskich obywateli na kresach dawnej Rzeczy posp. Panowie szlachta tęsknią za przeszłością, bo

Dawniej, gdziebyś nie przybył, o jakiejbądź porze,
Niezawodnie znalazłeś zabawę na dworze;
Tam spotkał człek jednego, drugiego sąsiada,
Więc się nowin nasłucha i sam się nagada;
Bywałeś się i najadł, napił i wyhasał,
Żyło się — jednem słowem — jak pan Bóg [przykazał!
A dzisiaj...

Dzisiaj, pan brat Wincenty Wątroba, dziedzic wsi Obij-boki, gubernii wołyńskiej, siedzi w kieszeni niemca Zeifera, który mu wywłaszczeniem rodzinnej ziemi grozi. Pan Wątroba widzi ruinę, chce pracą odwrócić nieochybne złe — cóż kiedy się kończy na dobrych chęciach:

O „dobre chęci“ nasze — o najlepsze cele,
Któż was — jak my polacy — posiada tak wiele!
O! szczytne chęci polskie, czynami jałowe!
Dziatki nasze rodzone — chwasty narodowe!.
Jak bójnie w sercach naszych i głowach rosnie- [cie
I jak nam z wami dobrze na tym bożym swiecie!.
Gdyby was dobre chęci nie było broń Boże!
Któżby kark nasz opasły ozdobił...w obrożę?..

Pozostaje więc jedynie p. Wątrobie odezwać się do patrjotyzmu sąsiadów — obywateli. Wysyła Elka karczmarza do miasteczka — zaciąga nowy dług, by uraczyć sąsiadów kiepskiem winem z omszałych flaszek, i pełen różowych nadziei — podejmuje licznych gości. Charakterystyka szlachty udatna. Dobrze schwycony ex-marszałek co nie upadł na duchu:

Dziś także dzielnie pije i za czterech jada,
Ztąd toż respekt ogólny w powiecie posiada!

Obok niego inni, jak p. Prokop Zawada, którego zdaniem:

Osuszyć takie bagna i w tak krótkim czasie,
To chyba niemiec może, który z djabłem zna się.

Patrjotyczne wygadywanie na niemców — daje możność autorowi, włożenia w usta młodego Władysława Opolskiego tych słów, pełnych gorzkiej ale rzetelnej prawdy:

Sami winni jesteśmy — nic nam nie pomogą
Żadne żale i skargi..niemcy nas przemogą,
Wywłaszczą nas, przygnębią, wsiądą nam na [karku,
Jeżli się nieobudzim z gnuśności letargu;
Jeżli nasze potrzeby, obowiązki, cele
Będziem sobie zasypiać, jak gruszki w popiele.
Cóż dziwnego, że niemiec ręką swoją sięga
Po to, co z wieków nasze!.. Polak — niedołęga
Czy umie tak jak niemiec, roztropnie a skrzętnie
Prowadzić swe sprawy, żyć skromnie oszczę- [dnie
Czy idzie za postępem? za nauką śledzi?
Czy długo myśl poważna w polskiej głowie sie- [dzi?
Umysł nasz ociężały, gnuśny i leniwy
Zdolny tylko na krótkie, chwilowe porywy,
Któremi choć myśl błyśnie i ducha rozpali,
Lecz gaśnie nim się wcieli i w czynie zkryszta- [li..
I tylko po tych błyskach zostaje w polaku
Buta — jak czad duszący po spalonym klaku!.
Czem świecimy przed światem? — Czy nasz [umysł płaski
Zdobył się na odkrycie jakie? wynalazki?
Czy położył zasługi w dziedzinie nauki?
Ach! prawda! trochę zasług ma na polu sztuki
Słyniemy także z tańców... nasze tańce górą!
I kuchnia słynna nasza — nasz polski barszcz [z rurą!
Oto wszystko!... Któż winien, że nad nami wisi
Groźna chmura zagłady ostatecznej.. Dixi...

Naturalnie słowa prawdy wywołały patrjotyczne oburzenie, któremu wyraz dał w mowie swej pan Ryczywół. Świetnej tej próbki naszej czysto-narodowej frazeologii, z braku miejsca z żalem powtórzyć nie możemy. Czytelniku! kup książkę — dość tania, porównaj ten ustęp z liryczno-patrjotycznymi artykułami niektórych naszych dzienników, z mowami „naszych znakomitych“, ich utworami — a przekonasz się, że niejeden ale tysiące za Ryczywołem powtarzają:

Kto swoich zbytnio gani, a obcych wychwala
Podobnym jest do ptaka — co swe gniazdo kala!

Że

Z każdą chwilą — mospanie-gorzej nam, gorzej,
Lecz to nie z naszej winy ale woli bożej...

Urażona szlachta w swym patrjotyzmie, by zadać kłam słowom Opolskiego — postanawia nie dać się wywłaszczyć niemcom i wspólnie się ratować:

Tak wszyscy za jednego i za wszystkich jeden!
Rzekł Ryczywół — niech wiedzą! niech wie Berlin, [Wiedeń,
Że nie łatwo nas połknąć — pierwej się zakrztuszą,
Lecz panowie, od dzisiaj bądźmy jedną duszą...
Sprawa święta, społeczna dłonie nasze splata!
A kto nie z nami — będzie jako apostata,
Jako zdrajca nikczemny!

Prawda że ładnie, cóż czy nie po polsku, i nie po polsku się kończy? Gdy nazajutrz patrjotyczna gorączka zasilona winem ustąpiła — gdy niemiec przybyłym do niego w celu rokowań zaproponował korzystne wyprzedanie się i uraczył dobrem śniadaniem — zapomnieli o wczorajszych przyrzeczeniach — wyprzedali się wszyscy zamiast jednego! Wahanie się szlachty — jej wewnętrzna walka — jej w końcu złożenie broni i odwoływanie się na opatrzność — doskonale i wiernie skreślone. Kto uratował Ubij-boki? ptak co własne gniazdo kalał. Opolski.

Wiersz czasami niezbyt gładki odznacza się niewyczerpanym humorem i werwą — i co najwięcej godne pochwały — to prawda w przedstawieniu osób i działania. Kto zaś popatrzy na etnograficzną mapę Rosji, skreśloną ręką Petermanna, i spostrzeże, że Wołyń dziś już prawie niemieckim, ten musi przyznać autorowi zasługę za wychłostanie naszych „poczciwców“. „Wszyscy za jednego“ powinno być darmo ofiarowane każdemu z obywateli, którego wieś przeszła w niemieckie ręce — na pamiątkę, by kiedyś wnuki z wdzięcznością dla autora, odczytać mogły biografie swych dziadów..

K. Ż.

ZIARNKA.

Sprawa teatru lwowskiego nie przebyła jeszcze wprawdzie perjodu nieznośnej tymczasowości — padł jednak na nią jasny promyk nadziei, i wszystko każe się spodziewać,

że lepsza dola dla naszej sceny zaświta. P. Jan Dobrzański, któremu tak wielką a niesłuszną wyrządzono krzywdę, przenosząc nadeń obecnego dyrektora, podał się o dyrekcję teatru, zniewolony do tego przez deputację poważnych obywateli, którzy go wezwali do starania się o teatr w imię dobra ogółu. P. Dobrzański postawił jako warunek przyrzeczenie, że Wydział krajowy przedłoży Sejmowi projekt budowy teatru letniego we Lwowie, a marszałek dr. Zyblikiewicz dał pod tym względem deputacji, która się do niego udała, zadowalającą odpowiedź. Mamy niepłonną nadzieję, że komisja, która ma w swych rękach rozdawnictwo dyrekcji teatru, jednogłośnie odda ją p. Dobrzańskiemu, a przejdzie do porządku dziennego nad osobą obecnego dyrektora, który złożył tyle dowodów swej nieudolności, że wprost stał się niemożliwym!... Choćby nas miano posądzić o samochwalstwo, nie możemy przemilczeć, że „Ziarno“ było jedynem pismem w Galicji, które śmiało i otwarcie wystąpiło przeciw obecnej dyrekcji, a w obronie chylącej się do zupełnego upadku instytucji. Poczytujemy to sobie za zasługę..

* * *

„Gazeta Narodowa“, zdając sprawę z odbytego dnia 28. z. m. wieczorka na cześć Mickiewicza, wyraziła słuszne zdanie, że obchody te urządzane przez młodzież akademicką, ważne są z tego względu, ponieważ nastręczają raz do roku sposobność tejże młodzieży, wystąpić przed szerszą publicznością, zamanifestować swe dążności i dać próbkę swych sił moralnych. Wychodząc z tego punktu widzenia, musimy wypowiedzieć kilka uwag, które nam tegoroczny obchód Mickiewiczowski nastręczył. Otóż wrażenie, jakie odnieśliśmy — było takie same, jakbyśmy wracali z udałego, ale pospolitego koncertu.. Część muzykalno-deklamacyjna, i to wykonana przeważnie nie przez akademików, odznaczająca się przytem nie zbyt stosownym do uroczystości programem — stanowiła główną treść wieczorka — a przemówienie i odczyt wyglądały tylko na jakiś konwencjonalny dodatek.. Mniejsza jednak o program, mniejsza o śpiew, fortepian i skrzypce — nie idzie nam o to, co i jak młodzież akademicka śpiewa lub gra, ale o to co myśli, co czuje, do czego dąży.. Cóżeśmy się pod tym względem dowiedzieli od prezesa „Czytelni akademickiej“ p. Sawczyńskiego, który wygłosił wstępne przemówienie? Nic — zupełnie nic.. Mowa była gładka, wygłoszona płynnie, ale oprócz utartych, po części zwietrzałych frazesów, i to wygłoszonych na zimno, nic w niej nie było.. Nie żądamy, aby takie przemówienie zawierało program przyszłej działalności młodzieży, każdy jednak radby się był dowiedzieć, czy młodzież akademicka oprócz chłodnego uszanowania dla przeszłości i starania się o zrobienie w przyszłości karjery, ma co innego jeszcze na myśli, czy pojmuje i odczuwa wielkie prądy wstrząsające społeczeństwami, czy pragnie dążyć naprzód pod hasłami postępu i sprawiedliwości, czy posiada silne a jasno określone przekonania i zapał do wprowadzenia ich w życie.. Kilka słów wypowiedzianych z głębi serca więcej znaczy, niż cała rzeka choćby najzgrabniejszych, najjedwabniejszych, urękawicznionych frazesów. Odczyt p. Mazanowskiego był także bladym pod tym względem, chociaż nastręczał sposobność do zamanifestowania zapatrywań i przekonań młodzieży.. Więcej ognia, panowie akademicy, krwi młodzieńczej więcej, a mniej pozowania na powagi.. Tylko do takiej młodzieży nasza przyszłość należy — dla tej, która tego zapału nie posiada, która się nie da porwać, która więcej rachuje, niż czuje — dla tej wygodne łóżko i szlafmyca!

* * *

Bardzo szczęśliwą myśl powziął „Lwowski chór męski“, zamierzając wydać śpiewniki, zawierające pieśni polskie i ruskie na wzór niemieckich wydawnictw „Regensburgskich“. Dotychczas towarzystwa nasze śpiewackie zmuszone były posługiwać się śpiewnikami niemieckimi, zawierającymi mnóstwo utworów ulubionych przez Niemców, ale wcale niesympatycznych dla nas. Zamiarem wydawnictwa „Lwowskiego chóru męskiego“ jest wyrugować te śpiewniki z polskich towarzystw śpiewackich. Zarząd chóru zapowiada, że wydawnictwo będzie tanie, ponieważ zebranie materjałów i korekta dokonane zostaną bezinteresownie. A więc jest nadzieja, że niedługo będziemy posiadać zbiorek kwartetów takich kompozytorów, jak Moniuszko, Żeleński, Rudkowski, Wierzbicki, Ławrowski i inni, których utwory mogą śmiało rywalizować z zagranicą. Przedsięwzięciu „Chóru męskiego“ życzymy szczere powodzenia.

* * *

Jeżeli na brak czego często u nas uskarżać się przychodzi, to pewno nie na brak pomysłowości, płodnej w rozliczne projekta. Inna rzecz, że największa ich część mimo to, a może właśnie skutkiem tego, rodzi się i ginie projektem... A wielka szkoda, że czasem społeczeństwo (mówiąc nawiasem, przyzwyczajone słuchać co dzień innej a nowej piosnki, i zaraz o niej zapominać!) nie podniesie myśli, rzuconej w najlepszej chęci w łamach tego lub owego czasopisma, i nie zamieni go w czyn! — Tę uwagę nasunął nam wyczytany w jednym z tygodników warszawskich projekt nowy, mający na celu powiększenie funduszów na pomnik Mickiewicza. Nawiązując do propozycji p. Banzemera, o której wspominaliśmy poprzednio, aby mianowicie każda rodzina przy opłatku tegorocznym złożyła wedle możności jakiś datek na rzecz pomnika, wnioskodawca apeluje do serduszka pięknych pań w ten sposób: Minionego roku, podczas zapust, warszawskie panie zobowiązały się były solidarnie, ze względów oszczędności, nie używać na bale, pikniki itp. zabawy, innych toalet, jak tylko perkalikowych. Mimo skromnych kostiumów, bawiono się wyśmienicie — a sens moralny z tego, że bez kosztownych materyj i koronek śmiało obejść się można przy tańcu. Stara prawda! Otóż proponują Warszawiankom, aby i w przyszły karnawał dały się namówić na tanie sukienki, a osiągnięte ztąd oszczędności przeznaczyły na fundusz pomnika.

Czy te słowa perswazji i zachęty utorują sobie drogę do przekonania pięknych pań syreniej stolicy — przyszłość okaże... My nie bardzo wierzymy w obfity sukces. Jakże jednak przyjemnego rozczarowania doznalibyśmy, gdyby tak u nas we Lwowie jak i na prowincji, panie nasze urządziwszy s t r e j k, postanowiły nie pojawiać się na publicznych i prywatnych zebraniach zapustnych w kosztownych zwykle strojach — a natomiast każda z nich przy końcu zapust przynajmniej kilka guldenów przesłała komitetowi pomnikowemu w Krakowie! Dwojaki cel byłby osiągnięty — i kieszenie ojców i mężów coś by na takim s t r e j k'u zyskały, i fundusz pomnikowy powiększyłby się przynajmniej o paręset guldenów. Zastanówcie się nad tem chwileczkę — piękne panie...

ZAPISKI.

Literatura.

* W Poznaniu, nakładem J. Z. Żupańskiego wyszły świeżo ciekawe „Pamiętniki Kilińskiego“, rzecz napisana z talentem i prostotą iście homeryczną. Ten sam niezmordowany wydawca Wielkopolski zapowiada na rok jeszcze bieżący ukazanie się pism Gen. Morawskiego w 4 tomach i Pamiętniki Barzykowskiego, także w 4 tomach.

* W Warszawie opuścił prasę przekład Molierowskiego Mizantropa — dokonany przez p. W. Szymanowskiego, — jak zapewniają warszawskie recenzje — nader wiernie i wzorowo. Podobno w tym przekładzie ukaże się niebawem Mizantrop na scenie warszawskiej.

* P. Aleks Marczewska, znana autorka kilku cennych prac na polu piśmiennictwa ludowego, wydała ostatniemi czasy w Warszawie powieść dla wieśniaków i rzemieślników p. t. „Królewski dziadek“, powieść z czasów „króla chłopków“. Fabuła opowieści opiera się na podaniu, jak pewnego razu Kazimierz W. przebrany za dziada lirnika trzymał do chrztu dziecko

ubogiego wieśniaka. W dalszym ciągu autorka przedstawiła po krótce dzieje dynastji Piasta, a zakończyła pobieżnym opisem panowania Łokietka. Poprawny język, styl popularny i poczciwa tendencja — oto zalety ostatniej pracy p. Marczewskiej.

* W wydawanym rok rocznie przez „Stow urzędników austryjackich" albumie literackim, którego wyszedł już tom 12 za r. 1883 pt. „Die Dioskuren" znajduje się obok dwóch świetnych wierszy Hamerlinga, i wielu innych cennych rzeczy, także przekład jednoaktowego dramatu Korzeniowskiego „Gentile Bellini", dokonany przez dr. Alberta Weissa.

* W niemieckiej popularnej przeróbce dr. Wollheima wyszło w Berlinie zajmujące dzieło Nordenskjölda „Die Fahrt der „Vega" in Asien und Europa". W nader zaciekawiający sposób opowiada ono o podróży „Vegi", o krajach i miastach przez wyprawę zwidzanych, tudzież o trudnościach, jakie okręt na tej drodze spotykały.

Teatr i muzyka.

* Z benefisu p. Woleńskiego, z którego swój dochód przeznaczył beneficjant na pomnik dla śp. Stanisława Dobrzańskiego, wpłynęło 270 zł., co z ofiarowanemi poprzednio na ten cel przez „Stowarzyszenie wzajemnej pomocy artystów" 100 zł., czyni kwotę 370 zł. Komitet pomnikowy wydał odezwę wzywającą do składek. Sprawę pomnika polecamy gorąco czytelnikom.

* Na benefis Żółkowskiego, który się odbędzie w dzień jubileuszu jego 50 letniej działalności, rozkupiono już biletów za 5000 rubli. Jak długo istnieją teatra w Polsce, żaden jeszcze benefis nie przyniósł takiego dochodu, ale bo też nie było dotychczas takiego Żółkowskiego.

* Kontrakt zobowiązujący Adelinę Patti na 4 miesiące do podróży artystycznej po Brazylii w r. 1883, zapewnia jej za to 200.000 dolarów wynagrodzenia. Jest to najwyższe wynagrodzenie dla artystki, o jakiem słyszano dotychczas.

* W Paryżu wznowiono z ogromnem powodzeniem, które stało się rodzajem tryumfu dla sędziwego poety, genialne dzieło Wiktora Hugo „Le roi s'amuse" („Król się bawi"; tragedję tę tłumaczył na polskie Wł. Sabowski). Tribouleta grał Got, Franciszka I. Monnet Sully, Blankę panna Bartet, a cygankę pani Samary.

Miscelanea.

— Czy dałby kto wiarę z niewtajemniczonych, że najsilniejszemi zwierzętami są — owady? A jednak uczony przyrodnik zdoła przytoczyć na to tyle wymownych przykładów, że w końcu przekonać musi każdego powątpiewającego niedowiarka. Posłuchajmy. Oto n. p. o maleńkim wrogu ludzkości — pchle — skonstatowano, że zdoła ona uciągnąć ciężar ośmdziesiąt razy większy, niżeli sama go posiada. W ten sposób jej siła muskularna, jest 27 razy większą, niżeli u konia, a że ten ostatni rozporządza siłą 7 razy większą, jak człowiek, więc ostatecznie pchła — oczywiście reflektując na jej ciężkość i organizm — jest 900 razy silniejszą od — człowieka. Do tego ten siłacz potrafi skoczyć na równą wysokość jak szarańcza, o tej zaś wiadomo, że z pomocą skrzydeł skacze na wysokość 200 razy tak wielką, jak jej długość. W tym stosunku człowiek powinienby przy odpowiedniem zużyciu siły, skoczyć z łatwością prawie 1000 stóp wysoko, a koń w stosunku do swego ciężaru, mógłby chyba przesadzić skokiem najwyższy szczyt Alp! W ogóle mizerna pchła przebywa jednym skokiem dwustukrotną długość swoją, a ponieważ człowiek, przy wielkiem wytężeniu skoczy zaledwie podwójną długość swojego korpusu, więc siła skoku u pchły jest 100 razy większą, jak u człowieka. Równie niepośledną siłę rozwija robak spotykany zwykle na owocach (cimex baccarum), który swoim maleńkim cieniutkim ryjkiem przebija ciało czterykroć cięższej od niego gąsieniczki, i mimo jej kurczowych drgań i zwrotów, unosi swobodnie zdobycz w powietrzu.

O chrząszczu, zwanym powszechnie „krówką" albo „grabarzem", opisał przyrodnik minionego wieku J. G. Gleditsch, w roczniku berlińskiej akademji z r. 1752. następujące spostrzeżenia: „Zauważyłem niejednokrotnie, że ciała nieżywych kretów i innych drobnych zwierzątek, znikały — szczególnie na rozruszanej ziemi — w dziwnie krótkim czasie. Chcąc dojść przyczyny tego, położyłem martwego kreta na grządkę w moim ogrodzie. Trzeciego dnia, już go tam niebyło. Zacząłem w tem miejscu kopać, i oto w głębokości trzech cali znalazłem zgubę, pod nią cztery chrząszcze. Dopiero teraz wytłumaczyłem sobie zagadkę. Te chrząszcze były grabarzami kreta — który znowu miał służyć za pożywienie ich potomstwu". Uczony powtórzył następnie kilkakrotnie ten eksperyment, i raz nawet świadkiem był naocznym, jak jeden taki grabarz zakopywał kreta 40 razy odeń większego i cięższego. Innym razem położył martwego ptaszka w naczynie, do połowy pulchną ziemią napełnione, i wpuścił tam dwa chrząszcze. Niezwłocznie zabrały się do roboty, aby pod trupem wybrać zagłębienie. Szczególnie pracował samiec. Kopał pięć godzin bez wytchnienia — poczem wypoczywał godzinę — po spoczynku kopał dalej. Nazajutrz rano tułów ptaszka pogrążył się o $1\frac{1}{2}$ cala w ziemię, ku wieczorowi — o $\frac{1}{2}$ cala głębiej, a na trzeci dzień już był ziemią zupełnie nakryty. Clairville spostrzegł pewnego dnia na ścieżce w ogrodzie martwą mysz, która mimo to ruszała się od czasu do czasu. Obróciwszy ją laską, ujrzał na drugiej stronie grabarza, który trupem poruszał; że jednak grunt był twardo ubity i szutrowany, więc niezmordowany robotnik wytężał wszystkie siły napróżno. Po niejakim czasie, porzucił mysz, i polazł ku pobliskiemu trawnikowi, pozornie zrozpaczony i zamyślony, co począć dalej. Na trawniku znalazł ziemię pulchną, i w lot zaczął w niej kopać. Że mu ta robota poszła prędko, wnet wrócił do myszy. Zaczął ją ciągnąć, potrącać, poruszać, usiłując przysunąć widocznie do przygotowanego grobu. Atoli to olbrzymie przedsięwzięcie nie szło mu, więc w końcu roztoczył skrzydełka, i uleciał gdzieś w przestrzeń. Clairville, obserwujący to widowisko, przypuszczał, że wprawdopodobnie zniechęcony trudem, porzucił robotę przekraczającą jego siły. Jakżeż się zdziwił jednak, gdy po krótkiej chwili ujrzał wracającego go w towarzystwie trzech czy czterech kumów. Jak gdyby na dany znak, wszyscy natychmiast wleźli pod mysz, i niby na żywych kółkach, zaczął się trup zwolna toczyć ku wygrzebanemu pierwej dołkowi na trawniku.— Chcąc sobie dokładnie przedstawić moc tego zwierzątka i siłę zużywaną przezeń przy podobnej robocie; wystarczy pamiętać, że ten mały hultaj może ciągnąć za sobą ciężar cztery razy większy, jak jego własny. W tym stosnku, człowiek ważący 70 do 75 kilogramów, powinienby podnieść ciężar 280 do 350 kilogramów, co jak wiemy, jest wręcz niepodobnem. Gdyby słoń posiadał odpowiednio do swojego ciężaru stosunkowo tyle siły, co taki chrząszcz grabarz, to zdołałby z łatwością unosić ogromne kamienice na swoim grzbiecie, mając zaś trąbę tak silną jak ryjek u pierwszego lepszego chrząszczyka, byłby w stanie łamać nią najgrubsze dęby i najwytrwalsze mury forteczne. Jeden z dawniejszych badaczy przyrody twierdzi również, że gdyby słoń stosunkowo wyposażony był taką siłą — jak znany jelonek, mógłby lekko poruszać góry z miejsca; porównując pracę mrówki z jej obojętnością, doszedł do przekonania, że żadne zwierzę nie rozporządza tak wielką stosunkowo siłą, jak ta pracowita mieszkanka lasów.

Francuskiemu badaczowi p. Plateau, udało się zkonstruować nader zmyślny przyrząd z woreczkiem miniaturowym, z pomocą którego oznaczać mógł zdumiewającą siłę, rozwijaną przez owady. Niezliczone z niemi próby doprowadziły do pewnika, że najmniejsze owady są stosunkowo najsilniejsze. Próbował n. p. z chrząszczem majowym. Sposób ten nadzwyczaj prosty. Jednym końcem nitki uwiązuje się nóżkę chrząszcza, na drugim wisi maleńka ważka, obciążona stosownie do potrzeby mikroskopijnemi ciężarkami. Takim eksperymentem Plateau skonstatował, że chrząszcz majowy w proporcji, dwa razy tyle uciągnie, co koń, pszczoła zaś trzydzieści razy tyle więcej. Koń — jak wiadomo — uciągnie tylko $^6/_7$ części swojego ciężaru, podczas gdy chrząszcz majowy 14 razy ciężar własny, a poczciwa pszczoła 20 razy.

Skąd jednak biorą owady tę niezwykłą siłę? Wiemy przecie że siła n p. konia, wołu i t. p. stoi w ścisłym związku z jego pożywieniem. Co dotyczy zaś owadów — to pomijając ową epokę ich życia, gdy są gąsienicami (kiedy właśnie bardzo często występują w roli groźnych niszczycieli) zresztą prawie wszystkie z wyjątkiem wędrownej szarańczy — potrzebują bardzo mało pożywienia, a nawet niektóre z nich zdają się obchodzić bez niego zupełnie! Ponieważ jednak siła i u nich bezwarunkowo wytwarza się z pożywienia, więc zdumiewające zaiste to zjawisko, że z tak małych danych tak olbrzymie rezultaty osiąga ten światek skrzydlaty!

Treść.

Wydawca: *Bolesław Spausta.* Odpowiedzialny redaktor: *Bolesław Czerwieński.*

Z drukarni „Dziennika Polskiego" pod zarządem Leona Zubalewicza.



Nowo urządzony handel

Herbaty chińsko-rosyjskiej

EDMUNDA F. RIEDLA

we Lwowie, plac Marjacki liczba 10

poleca zbioru majowego:

1/5 kilo

Congo . . nr. 1	zł. 1·60		Pecco . . nr. 6	zł. 3.—
Souchong czar. 2	„ 2.—		Karawanowa . 7	„ 4.—
„ zbiór maj. 3	„ 3.—		„ najprzed. 8	„ 6.—
Kaysow . . . 4	„ 4.—		Gumpow perl. 9	„ 3.—
Malang de Londres 5	„ 4.—		„ przed. 10	„ 4.—

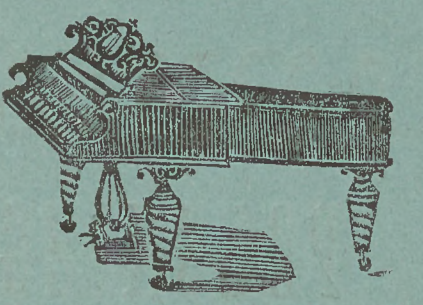
Herbata Souchong czarna, zbiór majowy, w oryginalnych chińskich skrzyneczkach i ołowiu opakowana, ważąca bez opakowania 700 gramów, czyli 1 1/4 funta wied. 3 zł. 50 ct.

Wysiewki herbaciane 1/2 kilo zł. 1.20, z najlep her. zł. 1.50.

Zamówienia z prowincji wysyła się odwrotną pocztą.

Opakowanie nie liczy się.

Gwarancja lat 10.



Gwarancja lat 10.

FORTEPIANY

z renomowanych fabryk

Hamburgera i Hofbauera

we Wiedniu

ma na składzie i poleca

A. ALSCHER

ul. Akademicka l. 26.

(Strojenia i reperacje **fortepianów i pianin** przyjmują się.)

Na jesień i zimę!

Największy wybór bawełnianych, wełnianych i jedwabnych **kaftaników, spodeń, pończoch i skarpetek,**

wełniane kamizelki z rękawami (Jagdgilets),

wełniane i jedwabne chusteczki na szyję,

Płótna i stołową bieliznę.

Główny skład gotowej bielizny, angielskich nieprzemakalnych płaszczy, Kołnierzyków, Manszet i Krawatek

poleca po najumiarkowańszych stałych cenach

F. S. BARDASZ

264 1-12

we LWOWIE naprzeciw kościoła Katedry l. 9.

Odszczególnione pięcioma medalami zasługi

i listem pochwalnym

za przewyborne perfumy i wody toaletowe.

Woda lwowska odznacza się bardzo przyjemnym i długotrwałym zapachem, zastępuje perfumy, wody pachnące, octy aromatyczne i toaletowe. — Woda lwowska zyskała powszechne uznanie i wziętość w kraju i za granicą. Ponieważ woda lwowska nietylko jest znakomitą perfumą do skrapiania sukień i chustek, lecz użyta także za pomocą rozpylacza, daje bardzo wonne i miłe kadzidło, flakon 80 ct. i 1 złr. 50 ct.

Woda lewandowo-ambrowa. Posiada bardzo przyjemny i silny zapach; służy do skrapiania sukień i chustek, niemniej też użyta za pomocą rozpryskiwacza, daje bardzo przyjemne i wonne kadzidło. Cena flakona 1·20. Pół flakona 70 ct.

Woda lewandowa podwójna. Odszczególnia się nader przyjemnym orzeźwiającym zapachem i używa się nietylko jako woda pachnąca do skrapiania sukień, chustek i mieszkań, lecz także jako woda toaletowa ma obszerne zastosowanie w damskiej toalecie, czy to do nacierania ciała, lub też zmięszania z wodą do mycia, bardzo korzystnie wpływa na płeć i skórę, konserwując i chroniąc ją od wyrzutów, zmarszczek itp. Cały flakon 90 ct. Pół flakona 50 ct.

Woda kolońska potrójna, która o wiele przewyższa swoją dobrocią zagraniczne flakony po 40, 80 i 1·50.

Woda kolońska flakony po 25, 50 i 1 złr.

Ocet toaletowy. Odznacza się nader przyjemnym zapachem i jest powszechnie używanym do odświeżania ciała, skórze nadaje jędrność, czerstwość i chroni ją od wszelkich wpływów szkodliwych powietrza. Służy on również do odświeżania i odwietrzania powietrza w salonach. Cena 50 i 1 złr.

Perfumy. Chypr, heliotrop, jaśmin, Jokey-Klub, hiacynt, lilija, perfuma krakowska, perfumy z kwiatów alpejskich, kwiatów polnych, kwiatów wschodnich, Ess-bouquet Millefleurs, paczula, rezeda, róża mchowa, Opoponaks, Ylang-Ylang, piżmo, perfuma litewska, fiołek, świtezianki, ambrozja, niezapominajki, pieszczotka, kwiat polski, konwalia, pierwiosnek, róża itp. flakoniki po 30, 50, 75 ct. 1·50 i 2.

Saszetki (Sachet) z zapachem paczulowym, z kwiatów wschodnich, konwaliowym, kwiatów polskich, kwiatów alpejskich, fiołkowym, lewandowym, piżmowym, różannym, heliotropowym itd. po 50 ct., 1 złr. i 4 złr.

Wody toaletowe z zapachami: fiołek, heliotrop, Millefleurs, Ess-Bouquet, służą do nacierania ciała i skrapiania włosów. Flakon 1 złr.

JAN IHNATOWICZ,

magister farmacji i chemik sądowy.

We Lwowie ulica Kopernika l. 8. Filja w Krakowie Sukiennice l. 20.

2571 1—0 2